ANTOLOGJA
NAJMŁODSZEJ POEZJI
PALESTYŃSKIEJ

WYBRAŁ I PRZEŁOŻYŁ
SZYMON WOLF

WYDAWNICTWO „WSCHÓD", WARSZAWA

ANTOLOGJA NAJMŁODSZEJ POEZJI PALESTYŃSKIEJ

BIBLJOTEKA „WSCHÓD“
I. M. FREID i S-ka

KIEROWNICTWO LITERACKIE:

HENRYK ADLER (Neszer)
Dr. SZYMON WOLF

WARSZAWA 1929

ANTOLOGJA
NAJMŁODSZEJ
POEZJI PALESTYŃSKIEJ

W PRZEKŁADZIE
i ZE WSTĘPEM
SZYMONA WOLFA

ZAKŁADY GRAFICZNE
„ZJEDNOCZENI DRUKARZE“
WARSZAWA
ELEKTORALNA 15

SŁOWO OD TŁUMACZA.

Poezja jest gałęzią twórczości, która najbujniej zakwita w czasie przewrotu. Najurodzajniejszą glebą dla liryki są okresy przewartościowywania wartości, kiedy dawne poglądy i światy rozpadają się w proch, a nowe powstają. Nie potrzeba daleko sięgać, by móc ten fenomen zaobserwować, wystarczy przypomnieć sobie potężny i powszechny wybuch liryki, jaki miał miejsce w pierwszych latach powojennych.

Zakwitła ona bujnie przedewszystkiem w Rosji, skłębionej w szaleńczym chaosie, wyzwalającej się z pod długowiekowej tyranji. W Polsce, cudem zmartwychwstałej, równie potężnie rozrosła się poezja liryczna, chociaż nie zaprzągnięto jej jak u sąsiada ze wschodu w jarzmo tendencji politycznej. Któż z nas nie pamięta owego czasu, kiedy raz po razu ukazywały się zbiory nieznanych przedtem twórców, kiedy wyrywano sobie z rąk małe, niepokaźne tomiki, czerpiąc z nich z upojeniem czar życia nowego pokolenia. To samo w Niemczech i Francji. Tak było wszędzie. Brak dystansu od odbywającego się przewrotu pozwalał tylko na żywiołowy wybuch, krótkie spięcie: wiersz. Nie było czasu, nie było możliwości dla refleksji, dla poważnej, solidnej prozy — poezja była artystycznem hasłem dnia. Ona przemieniała w przeżycie twórcze skondenzowaną aktualność, ona była najszczerszym wyrazem ducha czasu, ona najbardziej odpopowiadała nerwom czytelnika, szukającego krótkiej a silnej emocji, ona najżywsze obudzić mogła echo w roznamiętnionej podówczas umysłowości i uczuciowości.

Ten okres minął. Nastąpiła powolna konsolidacja stosunków na każdem polu, a wraz z nią przemiana mentalności pisarza i czytelnika. Dziś w Europie jest poezja mało czytana. Przesadą jest powiedzieć, że wymiera. Poezja umrzeć nie może, gdyż była, jest i będzie po wsze czasy, po wszystkie pokolenia, najszlachetniejszym wyrazem bólu, tęsknoty i szczęścia człowieka. Ale nie wybuchła więcej wielkim pożarem, lęcz pali się małemi, wiecznemi ogniami.

Ale jest na świecie jeden mały kraj, gdzie ciągła przemiana, gdzie rewolucja nie należy do przeszłości. Kraj, w którym dzień każdy składa się na wielobarwną tęczę wydarzeń, gdzie człowiek każdy targany jest nieustanną, zapładniającą burzą, gdzie intensywność przeżywania nie schodzi ani na chwilę z poziomu wysokiego napięcia, gdzie chaos boleśnie dzień w dzień nowe życie rodzi.

Tym krajem jest Palestyna.

Antologja niniejsza jest zbiorem poezji palestyńskiej, młodohebrejskiej. I sądzę, że zadanie przedmowy, poprzedzającej tę antologję najistotniej wyczerpie się w zdaniu sobie sprawy z treści przymiotnika „młodohebrejska", „palestyńska", postawionego przy rzeczowniku „poezja". Bo wystarczy sobie uświadomić, że do niedawna określenie takie było fikcją, albo absurdem, w najlepszym razie tęsknotą, — by zrozumieć całą niecodzienność powstania, rozwoju i triumfu tej poezji.

Poezja hebrejska istniała i dawniej, przed wojną światową. Cały szereg nieprzeciętnych talentów ją tworzył, od J. L. Gordona, poprzez Bialika i Czernichowskiego, aż do Sznejura i Fichmana. Była ona w swoim czasie też potężnym przewrotem, pierwszym od epoki hiszpańskiej przejawem renesansu języka, ale była to poezja tęsknoty za życiem, a nie pieśń życia. „Urodzeni w niewoli, okuci w powiciu", wychowani i żyjący w krajach rozproszenia, mogli twórcy owi śpiewać jedynie golusową pieśń. Do-

piero potem, kiedy nastąpił czyn historyczny uznania Palestyny za żydowską siedzibę narodową, kiedy w ślad za tym aktem doniosłym poszła immigracja młodych ludzi żydowskich do kraju, kiedy bić poczęło mocnem tętnem życie pracy, odbudowy i pionierstwa — powstała organicznie z ziemią żydowską związana, krew z jej krwi i kość z jej kości, poezja młodohebrejska, palestyńska.

Poeci, których utwory w słabym odblasku przekładu prezentują się w zbiorze tym polskiemu czytelnikowi, nie są dziećmi Palestyny. Urodzili się w Europie, wychowali w szkołach diaspory, byli studentami uniwersytetów stołecznych, żyli w zapadłych mieścinach Ukrainy, Polski, Rosji, brali czynny udział w wielkiej wojnie. Potem, kiedy rozpoczął się napływ pionierskich elementów do kraju, kiedy tysiące „chaluców" rozpoczęły pracę nad osuszaniem bagien, zalesianiem stepów, budową osiedli rolniczych i ogrodowych miast, porwał i ich irrealistyczny imperatyw, owładnęła i nimi charakterystyczna dla naszego pokolenia synteza woli i losu, poszli i oni do Palestyny, by stanąć w szeregach budujących. Poszli na pracę ciężką i cięższe od niej bezrobocie, na szary, a radosny trud, na bolesną walkę z oporną materją, na boleśniejsze od niej zmaganie się z samym sobą. Naiwnym jest ten, kto sądzi, że dwudziestowiekowy golus zostaje za jednym zamachem strząśnięty z chwilą wylądowania w Jaffie. Wtedy dopiero zaczyna się istotna walka, twórczy przewrót, rezygnacja z dawnych wartości, mozolne zdobywanie nowych. Poeci palestyńscy, pionierzy nie tylko w przenośnem, ale często i w najrealniejszem tego słowa znaczeniu, musieli i muszą walkę tę i przewrót ten przeżywać w spotęgowanej formie. Ciąży na nich fakt, mogący być równie dobrze bogactwem, jak i klątwą: obcojęzyczność i wielojęzyczność. I oto ci, którzy w Europie mówili i pisali po żydowsku, po polsku, po rosyjsku, po węgiersku i t. d., stali się w odrodzonej Palestynie poetami hebrejskimi. Trudno jest zrozumieć ogrom nadludzkiego wysiłku, koniecznego dla tworzenia w języku, który przecie nie został przez nich wy-

ssanym wraz z mlekiem matki — nawet objektywnego obserwatora zadziwić musi ten duchowy heroizm zwycięskiej walki. Zwycięskiej — gdyż dzisaj jest poezja palestyńska rzeczywistością, kryjącą w sobie wielkie możliwości rozwoju, jednym z najrealniejszych — w głębszem tego słowa znaczeniu — rezultatów odrodzenia narodowego.

A jednak nie jest antologja niniejsza wiązanką narodowych wierszy. Od niczego nie jest poezja młodohebrejska tak odległą, jak od nacjonalistycznego szowinizmu — obcym jest jej arsenał pustych frazesów, wystrzelany już dawniej przez tandetę literacką. A z drugiej strony — jeśli idzie o wyższe pojęcia t. zw. narodowej poezji — nie ma ona potrzeby wzywania i budzenia świadomości. Może śmiało zrezygnować z nerwowego akcentowania swojej żydowskości, jestto bowiem fakt naturalny, o którym się nie mówi, tak naturalny i zrozumiały sam przez się, jak przyroda, jak praca na roli, jak odrodzenie języka. Wyśpiewuje ona natomiast życie człowieka: nowego żydowskiego człowieka. Jest poezja palestyńska jednem z ogniw łańcucha, otaczającego miłosnym kręgiem cały nasz glob, łańcucha ludzi ducha i talentu, jest tysiącznemi węzłami podziemnie złączona z współczesną twórczością europejską, jest prawdziwie i w najszlachetniejszem tego słowa znaczeniu ogólno-ludzką. A jednak i najistotniej żydowską — dzięki językowi, w którym ją piszą, dzięki krajowi, w którym ją tworzą, dzięki żyjącym w niej przeblaskom starohebrejskiego proroctwa.

Jeśli idzie o formę literacką lirycznych utworów palestyńskich, rzuca się w oczy synteza europejskich kierunków twórczości z swoistą nutą Palestyny. Z jednej strony liczne echa prądów poetyckich, które do niedawna przechodziły przez Europę, a z drugiej — charakterystyczna typowość, powstała w kraju żydowskiego renesansu. Konglomerat zdobyczy artystycznych ostatniej doby i bezpośrednia prostota. Z wpływami powojennych szkół literackich dość często spotkać się można i u poetów mło-

dohebrejskich, ale bez dogmatyzmu, bez uważania tych lub owych postulatów artystycznych za alfę i omegę twórczości.

Przypatrzmy się poszczególnym poetom. Oto Szlioński — student uniwersytetu w Rosji, jeden z tych, którzy porwani zostali pierwszym wiewem rewolucji rosyjskiej. Potem widzi zbyt naocznie, czuje zbyt dosadnie jej skutki. Ma jej dość. Do Palestyny! Ale wyjazd z bolszewickiej Rosji, a zwłaszcza do „kontrrewolucyjnej" Palestyny nie należy do łatwości. Na Krymie chwytają go czekiści i osadzają w więzieniu. Udaje mu się uciec i po gehennie wędrówki dostać się wreszcie do Palestyny. W kraju zostaje robotnikiem: w dolinie jezreelskiej osusza bagna, w Tel-Awiwie dźwiga cegły i miesi beton. Żyje w nim ciągle jeszcze „brodjaga" rosyjski, dekadenckie „naplewat" jest zasadniczą nutą jego pierwszych, hebrejskich wierszy. Dopiero potem następuje wewnętrzna przemiana, głębokie zrośnięcie się z ziemią, na której pracuje i tworzy.

Oto drugi z nich — Uri Cwi Grinberg, przed paru laty jeszcze po ulicach Lwowa i Warszawy chodzący człowiek, który w Golusie napisał „Mefista" w żydowskim języku, książkę zatraty i beznadziei, by w Palestynie poprzez udrękę „Wielkiej Trwogi i Księżyca" sięgnąć po „Wschodzącą Potęgę" i tymi dwoma tomami poezyj wykazać światu, że twórczość w języku hebrejskim na ziemi żydowskiej działa jak eliksir wiecznej młodości.

A oto Awigdor Hameiri, dawniej Feuerstein, dawniej członek bohemy budapesteńskiej, potem oficer armji austrowęgierskiej. Niewola rosyjska, Sybir, stamtąd drogą na Chiny i Indje ucieczka do Palestyny. Do Węgier, domeny Horthy'ego, nie wrócił, osiadł w żydowskim, wolnym kraju i stał się jednym z najnamiętniejszych jego entuzjastów.

Zbyt liczną jest rodzina poetów palestyńskich, byśmy w tym wstępie nad każdym z nich zatrzymać się mogli. Niechaj więc roczej każdy z nich sam przemówi. Swoimi utworami prostymi,

serdecznymi, odzwierciadlającymi w sobie tragizm i szczęście palestyńskiego życia. Niech przemówi antologja sama z siebie, niech pokaże czytelnikowi czytającemu po polsku poezję, napewno nie rewelacyjną, ale jednak godną poznania. Poezję, w której odbija się melancholja otoczenia arabskiego, którą rozsadza potęgą proroczego słowa. Poezję pionierstwa, dźwiganego w głębokiej radości.

Powstaje z tych wierszy drobnych i natchnionych poematów nowa, nasza wizja dzisiejszej Palestyny. Z krwią pisanych słów i zwrotek przemawia do nas świat nadludzkiego wysiłku i nadludzkiej wiary. Pieśń żydowskiego człowieka, żyjącego na własnej ziemi idzie w świat. Niesie z sobą wieść o walkach, klęskach i zwycięstwach współczesnego pokolenia wybrańców.

Szymon Wolf.

SZYMON WOLF.

POECI PALESTYŃSCY

Odkąd los w nich rozpalił tęsknotę i pożar
I życie jednem, ostrem cięciem w dwoje rozciął,
Żyją tam, w małym kraju nad Śródziemnem Morzem
Rozpaleni malarją, modlitwą, miłością.

Niema, niema spokoju i niedola dławi,
Niema łez — do dna wypił je pustynny chamsin —
Jest bezsenność, jest męka, jest serce, co krwawi,
Jest strata zostawionej za morzem kochanki.

Jest szary, ciasny namiot, jest łóżko polowe,
Jest płomień migotliwy małej kruchej lampki —
I życie tak samotne, jak nagi jałowiec,
I tęsknota, co nocą pije krew, jak wampir.

Tak chodzą po moczarach, piaskach swego kraju,
Słońce pali ich żarem, febra nimi trzęsie, —
Tak chodzą i poezję najczystszą śpiewają,
Pieśń w życiu wykuwają, jak w skrwawionem mięsie.

To nie oni śpiewają swą boleść najszczerszą
I nie oni oddają duszę w żywem słowie —
To ziemia przez nich woła, ziemia pisze wiersze
I kraj tęskni i krzyczy w ich hebrejskiej mowie.

Tak pustynia się skarży i jęczą szakale,
Tak rozpalona skała galilejska pęka,
Tak gwiazdy migotają w niebieskiej pow:
I tak życie, jak wielbłąd zmęczony przyklęka.

Z serc krwawiących, bijących przyśpieszonem tętnem
Ulatuje pieśń — iskra, co w ciemności świeci — —
Tak śpiewają o kraju w miłości namiętnej
Wybrańcy: palestyńscy, hebrejscy poeci.

URI CWI GRINBERG

DZIKI POETA.

Wy, co płaczecie czarnym atramentem na białych arkuszach
papieru,
a listy możnaby na nich pisać do ludzi drogich, żyjących daleko,
albo litery jak węgle stawiać, aby śpiewały o męce krwi
i pozostały na wieki — płomienne, jak słowo prorocze.
Wy, których rytm i serce i życie jest lekkie wobec ciężaru poezji,
pragniecie, bym z wami szedł, dziki poeta, abym tak śpiewał,
jak nakazuje nauka delikatnisiów żydowskich.
Amen! powiadam; zamknijcie okna, by nie uciekło wam serce,
drżące jak rtęć,
kiedy zawieje mój wiatr pustynny, który jak trzoda otacza
rozpłomienione me ciało — —
Kowalom, co rozżarzają żelazo, podam swą dłoń i tym, co
owce po stepach pasają—
ale nie będę, nie będę jak wielbłąd, co chodzi po piaskach
i dźwiga ciężary — symbol upokorzenia.
Jak wół być pragnę, co ryczy z nadejściem poranka: to człowiek
idzie na trud całodzienny i głód — —
a nocą chcę być wraz z morzem złowrogiem, tajemnem,
jak ono do żółtych przypadać piasków, —
a czasem do psa podobny jestem, tak bardzo mi zmiłowania
potrzeba, tak bardzo tęsknię.
A więc nie będę pisał wam wierszy: „serce me stoi otworem...",
jak długo z serca mojego naprawdę nie zrobię przytułku dla
wszystkich znękanych,

co tęsknią w ojczyźnie za duszy swojej ojczyzną,
by mogli zajść do mnie tak, jak się zachodzi do szynku,
albo świątyni —
A jeśli lat siedemdziesiąt żyć będę, pójdę na czele tej karawany,
dręczonej tęsknotą,
szukać krynicy, skąd płynie proroctwo hebrejskie —
pić będę łaskę z wysoka i żuć melony — to moja wieczerza,
a wargi szeptać będą modlitwę wieczorną za wszystkich tak
biednych jak ja w Palestynie
i będę wsłuchiwać się w jęki ciał po barakach leżących,
jak słucham jęku syren okrętów na morzu burzliwem.

A. SZLIONSKI.

WY.

Śpiewaliście — ale nikt z was nie próbował
zawołać: „dość!" —
mówiliście „jesień"—lecz żaden głos się nie zbuntował:
„kłamie gość!"

Poszliście sobie, —
a prosił was kto ze łzami:
„dalej!"?

Któż to was błagał, byście śpiewali?
i któż dziś tęskni za wami?
och, wiemy: wasze „gwiazdy" — to zwęglone głownie.

Niema was — przecudownie!

OFIARA KRWI.

Jeśli promyk choćby został wam z synajskich wspomnień,
jeśli cień przeszłości żyje jeszcze —
dajcież go na ołtarz Boga w miłości ogromnej.

O, nie było jeszcze skiby tak strasznie spragnionej,
żaden kraj za wodą tak nie wołał,
jak ta ziemia za krwią woła, naszą krwią czerwoną.

Nie modlitwy, bracia, trzeba, nie tęsknoty mętnej,
nie rozpaczy, westchnień, ani szlochu, —
lecz czerwonej krwi, co płynie z serca, żył i tętnic.

Pragnie ziemia, woła ziemia: jeszcze, jeszcze, jeszcze
czy widzicie moczary i skały?
nie chcą rodzić, zanim krew nie spłynie na nie deszczem.

Naszą krew, co świętą stała się u stóp Synaju,
bezczeszczoną w długich, mrocznych wiekach —
lejcie ją, jak nawóz ciepły, w skiby tego kraju.

Wtedy czystym kraj się stanie, czyści wy będziecie,
każda gruda ziemi śpiewać będzie:
szczęsna jestem, dumna jestem z wiernych moich dzieci

Jeśli promyk choćby został wam z synajskich wspomnień,
jeśli cień przeszłości żyje jeszcze —
dajcież go na ołtarz Boga w miłości ogromnej.

JEHUDA KARNI

WŁÓŻCIEŻ MNIE JAK KAMYCZEK...

Włóżcież mnie jak kamyczek mały w szczelinę,
A potem mocno uderzajcie młotem —
Może przebaczy Bóg ludowi winę,
Że nie szanuje swych ruin — jam gotów.

Pragnę: niechaj ciało moje wśród świętych kamieni
Leży jak cząstka muru odwiecznego miasta —
Wszak i dusza moja w krajach rozproszenia
Dzieliła ludu los, w wyżynach i przepaściach.

Wgnieććie mnie w mur jerozolimski, mur miasta wieczności,
I nałóżcie na mnie mocny tynk biały —
Ze ściany kamiennej śpiewać będą moje kości
Mesjaszowi na chwałę.

ESTERA RAW

PIEŚNI O OJCZYŹNIE.

I.

Na ciele twojem nagiem — o biedna, a jednak tak bogata —
świętuje teraz biały dzień.
Oto przykucnął na horyzoncie kolos górski,
niesamowity jak fata morgana.
Południe. Połyskują dale pól,
a opary wznoszą się drżąco
jak mglista zasłona
ku niebu.

Wpośrodku równiny
pagórek wyrósł, okrągły jak pierś, —
na jego szczycie duma biały grób,
a na pustkowiu polnych rżysk
sam jeden spoczął sędziwy jałowiec.
Oko zmęczone oślepiającym blaskiem
tonie rozkosznie w zieleni jałowca,
jak w cichej, chłodnej sadzawce.
Tyś taka biedna:
czerwone rowy ceglaste
i popalone koryta potoków
białą przerzynają dal...
i taka jesteś piękna!

II.

Serce moje — to ty, ojczyzno.
Nocą po stepach kolcowych
rośnie ono jak gałąź tajemna
w woni cyprysów i ostów wilgotnych.
Miękkiemi kołyskami z piasków
są wtedy drogi twoje,
biegnące rzędami akacyj.
Na powierzchni jedwabiu jasnego
porusza się tam me serce,
oczarowane —
a czyste niebo coś szepce zasłuchanym drzewom.

EZECHIEL SAN

BEZROBOTNY.

Tu pęcznieje fundament z betonu,
tam buduje się nową sieć dróg, —
tu już ściany z kamieni wzniesiono,
a tam głazy rozbija się w szutr:
tylko ja jestem bezrobotny.

Tu taczkami zwozi się gruz,
cementowy uprząta się dach, —
tam ładuje się cegły na wóz,
z cegieł nowy muruje się gmach:
a moje ręce bezczynne.

Usypali kopce z cementu,
skałę w drobne kamyczki rozniešli —
pracują chłopcy, dziewczęta,
pracują ślusarze i cieśle:
a ja przechodzę, patrzę, idę dalej.

Tam huczy w fabryce motor,
elektryczny obraca się kierat —
tam ogień, stal i robota —
hej, tam żyć i tam umierać:
i tylko ja nie żyję, ani nie umieram.

A. SZLIONSKI

Tu.

Nie stoi okręt cicho na kotwicy,
Lecz wiosła skrzypią i maszty się gną.
Wichura. W jasnem świetle błyskawicy
Żagle się drą.

A jednak dobrze tu spocząć bez skargi
I cicho w kąciku zamarzyć —
Nie jestem żagiel, by wicher mną targał,
Otom — zwykły sobie pasażer.

Zeszedłem z okrętu i pójdę z ochotą,
Dokąd pójdą ze mną bracia moi prości —
Wszak wszystkie żagle nas w końcu zawiodą
Do portu nicości.

ASZER BARASZ

W LĘKU PRZED JUTREM...

W lęku przed jutrem, drżącemi dłońmi
mury wznosicie —
cegła jest krucha, cegła jest droga,
ciężka jak życie.

Strzeżcież, murarze, każdej cegiełki,
jak oka w głowie —
nuż jaka pryśnie — i kichnie wtedy
robotnik sobie.

I kichną wszyscy bracia — murarze
za nim, bezradnie —
z dłoni im młot i kielnia wyleci,
i dłoń opadnie.

A wonczas z trwogą ujrzą wyłomy
w murze, w powale —
i strach ich zmrozi: po kątach
jęczą szakale.

KROCZĄ WIELBŁĄDY.

Kroczą wielbłądy przed moim domem,
Rano i wieczór — przez cały dzień...
Życie człowieka — to trud znikomy,
A życie serca — sen, tylko sen.

Gdy spływa noc na dzień spracowany,
Gwiazdy wspomnieniem szczęścia się mienią —
Cisza dla serc tęsknotą spłakanych,
Jedność dla serc rozdartych przestrzenią.

Zapomnieć ciebie nie mogę, nie umiem,
Choć jesteś mi obcy, choć dzielą nas lądy —
Ach, gdybyś jeszcze mógł kiedyś zrozumieć
Jak bardzo piękne są nasze wielbłądy...

JEHUDA KARNI

W TYM KRAJU.

Błogosławionym bądź, Boże,
Panie, królu świata,
co przyjmujesz w święty związek
i siostrę i brata,
co nakładasz na dziewczęta
i na chłopców trud ofiary —
pobłogosław ich swem słowem,
by nie padli pod ciężarem.
Spłyń-że nieskończoną łaską,
łaską swego cudu,
na narodu Twego ołtarz,
który jest ołtarzem ludów,
za to, że najdrożsi nasi
synowie i córki
budują drogi w dolinie
i orzą pagórki.
Amen.

SZ. BAS

GISKALA.

Idę oblany srebrzystą poświatą miesięczną w Galil
Szukać po nocy przeszłości, zakrzepłej wśród dzikich skał —
Szara zasłona mgielna opada na gór mrocznych wał
I niema echa ni śladów po Jochananie z Giskali.

Północą słychać tętent rumaków pędzących z oddali —
To tylko cisza tak dzwoni, to szatan w ciszy się śmiał.
Potem się wąwóz tysiącem cieni ożywił i drgał
I wódz zamajaczył cieniem ogromnym na srebrnej fali.

„Tyżeś to jest, Jochananie! Powróć! Nie opuść! Pozostań!
Patrz: oto skały są smutne, czarne i dumne jak księżne —
Powiedz, żeś wrócił, że twoje tu słowo echem przemknęło.

Tu, wśród tych gór odwiecznych, jaśniała rycerna twa postać,
Tu twoje serce roiło sny mocy, sny niebosiężne..."
— — — Boleśnie cień się uśmiechnął i szepnął cicho: minęło...

URI CWI GRINBERG

MIŁOŚĆ.

Zniszczone zostały wszystkie okręty królestwa judzkiego,
ciała prawnuków Dawida są żerem ciepłym dla zwierząt.
Pokłute dzidami są ziemie królestwa judzkiego,
dlatego bolesny jest kraj, jak ciała nasze cierpiące.

A jam z pokolenia judzkiego, zrodzony w Golusie, —
ojciec mój żyje w Europie środkowej, jest piękny i rosły,
pracuje za dnia na chleb i blask roztacza w czas nocy
i płacze gorzko i ręka mu drży nad onyksem stłuczonym.
Jak on, wyrosłem wśród lasu krzyży —
Lubię patrzeć, jak otula się ojciec mój białym zawojem,
głowę ma wtedy jak słońce promienną i jasną...
Przed okiem mojem są jego ręce i wargi zbielałe od trwogi.
Przed okiem mojem jest ojciec mojego ojca —
pamiętam grudkę ziemi judejskiej rzuconej na ciało dziada
wzdęte po śmierci...

Jak to jest dobrze, żem nie jest pijany chłop ukraiński,
i dobrze mi, dobrze mi, dobrze, żem nie narodził się Arją!
Cieszę się: jestem poeta, co pisze w świętym języku,
nędzarz obdarty w dzikiej ojczyźnie żydowskiej,
i wołam: my tu jesteśmy jak trzoda święta,
co kocha swoją niedolę.

Żar słońca i pył gorący palą od rana do nocy,
ale wieczorem opada rosa — pije ją ziemia spalona — —
są tu rozmowy cudowne z kochanką i przyjacielem
i jest pożądanie płomienne —
jest łono, co krwią twą wzbierze i syna drogiego ci zrodzi,
jest „horra“ — taniec podniebny i okrzyk „Buduje Bóg Galil!“
Jak to jest dobrze: rzuciliśmy Wiednie, Paryże, Londyny!
Jak to jest dobrze: rzuciliśmy życie i przepych Europy,
by się tu stać gromadą braci bosych, trawionych malarją,
i mówić o swojej miłości piaskom i ziemi skalistej.

ELISZEWA

JUŻ SIĘ SPEŁNIŁO...

Już się spełniło marzenie me święte,
Lecz między nami — spienione mórz fale,
Nocą nieznanym świecą firmamentem
Gwiazdy nad głową w niebieskiej powale.

I cóż ci powiem? Sen zmienił się w ciało
Jam przecie nigdy nie sadziła kwiatów,
Przemija wszystko, jedno się ostało:
Moje marzenia, sny o innych światach.

A jeśli los mnie powiódł drogą błędną,
Jednak dotarłam do najskrytszej tajni —
Jakżeż mi teraz zdruzgotać legendę
I zacząć żyć powszednio i zwyczajnie?

„Są bardzo, bardzo od siebie daleko,
Choć serca skute w miłosnym zapale."
— — — — — — — —
Gdy noc zapada — łzy bolą i pieką,
Bo między nami — spienione mórz fale.

A. ŚZLIONSKI

ŻNIWA.

Łyska coś w polu, to sierp pracuje
Złocistym ściegiem —
Legły po polach dalekich trupy
Długim szeregiem.

Żniwiarze wiążą pszeniczne snopy
W radości dumnej —
Sierp pozłocisty łyska w mem polu.
Czemu nie trumna?

Dwadzieścia trzy. Tak rok po roku
Idzie i płacze...
Czy można związać w jeden snop całe
Życie tułacze?

Łyska coś w polu, to sierp pracuje
Złocistym ściegiem —
Legły po polach dalekich trupy
Długim szeregiem.

URI CWI GRYNBERG

Z cyklu: „*W szóstem tysiącleciu*".

Niechaj popłynie ból nasz do mórz ogromnych, znających
cierpienie świata,
niechaj usłyszą ryby drapieżne wieść o naszej niedoli.
Zejdźcie w głębiny morza, stańcie się żerem drapieżców,
bo ciasno jest nam na lądzie, gdzie świeci słońce i gwiazdy.

Bracia! dokąd-że jeszcze pójść w tysiącleciu szóstem,
gdzieby nas nie znalazła nienawiść i noc nie smagała
ciała udręczonego, co nie ma schronienia nawet na łonie
królowej.

Chodzą po miastach nocami trupy aż do woskowych poranków.
Niemiłosierny jest bruk. Niedola u śpiących po domach.
Pleśnieją usta kobiece i sperma pleśnieje.

Ach, ciasno jest nam! Ach, pożar w chmurach. Dlaczego nie
wieńczą nam czaszek,
byśmy jak jasne, czerwone łuczywa szli w wspaniałości
królewskiej
do czarnych pałaców — — —

Nie ozwie się Bóg z własnej woli, nie ozwą się echem niebiosa.

A. SZLIONSKI

Z cyklu: „DZIEŃ WCZORAJSZY“

Powracają dni jałowe,
jak kur stada do kurnika —
kury gdaczą.
Zachorzało serce moje, poszarzały sny tęczowe:
dni jesienne płaczą.

Jęczy słońce:
„ach, staruszek ze mnie, dzieci,
dajcież zawlec mi w zapiecek stare kości!“
Słońce znika.

A tam — na pobliskim moście
wieprzak młody sobie bryka,
w błocie legł na wznak.

My z torbami się włóczymy po szerokim świecie
i szukamy chleba i litości —
ot — tak.

J. LAMDAN

SERCE BEZ DZWONU.

I.

Jam jest serce, które niema dzwonu,
kielich swój mosiężny roztrzaskałem,
więc przestałem dźwięczeć, —
a teraz serce me osamotniałe
wiruje jednostajnym kołowrotem
tam — z powrotem,
tam — z powrotem.

Rany moje — ot z tułaczki długoletniej
pośród wąskich dzwonu ścian.

Ale dziś dzwon roztrzaskany jest w czerepy,
a odłamki rozsypane po wertepach
i krwią czerep każdy obryzgany
i robaków na nim mrowie
krew czerwoną żłopie.

Hej dokąd?
„czas“, „cel“, „droga“ —
nie rozumiem, co to znaczy,
nie mam dzwonu, nie mam Boga,
przepaść woła, serce płacze,
smutne, opuszczone serce,
tułające się po świecie
w poniewierce...

III.

W noc brzemienną przerażeniem
pięść potężna, pięść tajemna uderzyła w dzwonów świat,
aż zachłysnął się
i zapadł w ciemność.
Pomętniały dźwięki i pociemku tylko
jęki wloką się oślepłe.

Chmurne niebo knuje plan złowrogi.
Potem śmiech szyderczy walił grzmotem
na pohybel ślepym jękom
i czerwony błyskawicy bicz
padł na dzwony.
A języki ognia jęły opętańczo
lizać mosiężne kielichy.
Wtedy dzwony rozdzwoniły się tysiącem krtani swych
ochrypłych:
„Pożar! hej, ratunku! pożar!“
Lecz płomienie obejmują ramionami
dzwonów kłębowisko,
więc padają dzwony —
krzeszą skry —
rozlatują się w okruchy...
Dzwonnik stary przerażony ustał,
ręce mu zdrętwiały, sznur się zerwał,
ale dzwony dalej dzwonią
bez dzwonnika w noc złowrogą
na trwogę...

A. Szlionski

Z poematu: „Z i e m i a"

Śmiała się przez całą noc wichura
śmiechem tyranów, opojów
i grzmiała:
„Słońce zakrzepnie, zakrzepnie!"
A chmury, jak czarne nierządnice,
tańczyły w takt puzonów burzy
i potwierdzały bębnem grzmotów:
Amen!

I nie poważył się żaden rzezaniec
w twarz rzucić wichurze oszalałej:
„Kłamiesz wichuro i wy grzmoty kłamiecie!"
I tylko ja i ziemia
wołaliśmy w lupanary nocy:
„Kłamstwo!"

Ale oplwala nam twarze burza deszczem pogardy,
pazurami błyskawic szarpała oblicze nocy
I szydziła grzmotem:
„Słońce zakrzepnie, zakrzepnie!"

Ach, gdyby wiedziało słońce, że skrzepnie,
w twarz — by plunęło własną,
jak dziewka po sprzedaniu ciała —
i zgasło.

Łecz oto —
pochodnia jutrzni zabłysła w baszcie mych snów:
Wschód!
sztandary buntu powiewają czerwienią:
Słońce!

I poczną wtedy miotły wiatrów
zmiatać z posadzki porannego nieba
pomioty burzy,
a ziemia uśmiechnęła się do mnie,
jak dziewczę, co wychodzi z kąpieli,
w świątecznej fryzurze zieleni.

Na podwórzu — suka na szczeniętach leży,
po ulicach — wrzawa niemowląt, pluskanie kałuży —
oto kobieta w dziewiątym miesiącu —
wszystkich zwołały żagwie buntownicze
tutaj.

Hejże, pocałujmy się
kobieto i suko!
Ciężarność wasza to uśmiech triumfu,
rzucony oszczerstwom jesieni
i potwarzy rzezańców wołających:
„Słońce zakrzepnie!“

A jeszcze wczoraj chcieli mnie oszukać:
„Służebnicą li tylko jest ziemia twoja,
jedną z gromady sług pani słonecznej.“

Ej, Koperniku niemądry!
nie wiesz-że jeszcze, iż dla jednej suki,
leżącej na szczeniętach,
wirują wszystkie słońca, księżyce i gwiazdy
dookoła ziemi
i liżą językami poły czarnej jej szaty?

Ale święto jest dziś —
więc wybiegłem.
A w pędzie —
przemknęło mi przed okiem
mrowie drzew, byków, domów, ludzi, kałuży —
cały świat rozpromieniał na widok
sztandarów powstania powiewających.
Bunt!

A jak po pierwszym porodzie,
świeżo umyta i bardzo zmęczona
uśmiechnęła się ziemia:
Święto!

I pojąłem:

Jam jest najwznioślejsza pieśń z księgi psalmów,
której tytułem: świat.
A ciało moje — to świątynia Boża,
jak ciało każdego stworzenia, co woła
ku niebiosom.

E L I S Z E W A

OTULAŁ WIECZÓR CICHY...

Otulał wieczór cichy
prowincjonalne miasteczko —
to moje miejsce rodzinne,
gdzie dom mój, pokój, łóżeczko.
I wtedy spadały liście,
a drzewa stały samotnie,
wieczór na czystym błękicie
gwiazdy zapalał sobotnie.
Daleko gdzieś siedział chłopak
o bladej, marzącej twarzy
i nucił nad księgą pożółkłą
w starym Bet—ha—Midraszu.
A nuta leciała smętna
aż do mojego miasteczka,
była jak kołysanka
przy mojem małem łóżeczku.
Nadchodził potem sen słodki,
na dom spadała martwota,
błogosławiły mnie gwiazdy
pokojem świętej soboty —

MORDACHAJ TEMKIN

ELEGJA

I

Kto to nagle w życia mego wszedł granice?
Kto, jak wieczór, cicho zjawił się u progu?
Rzuca na tęsknotę cień swej tajemnicy,
Jak ten zmierzch, co kraj zalewa w czas zachodu?

Czemu drży me serce jak kielichy kwiatów,
Gdy im ciemna noc za miękkie służy łoże?
Czym już drogą długą wszystkie zeszedł światy,
By w milczeniu głuchem zajść do Ciebie, Boże?

II.

Stąpam lekko, stąpam cicho po płaszczyźnie szarej.
Zapada życie. Kroki w czarnym mroku się gubią.
W głuchej nicości toną słowa, pieśni, gwary, —
Jeszcze wyciągam dłoń, lecz wargi nic już nie mówią.

Na wyżynach wieczoru wiatr boleśnie zajęczał,
Tak narzeka tęsknota w twardem życiu tułaczem –
Oprę się ciałem zmęczonem na losu poręczy,
Nie będę więcej szukał radości ani płaczu.

URI CWI GRINBERG

Z poematu: „Wędrówka"

— — — — — — — — —

W wędrówce duszy przejdę przez kraje Golusu, gdzie leje
się krew królewska potokiem
i gdzie nasze krtanie ochrypłe w śmiertelnej rozpaczy za
Bogiem wołają,
a życie jest mroczne jak tunel.
Hiszpanja — Niemcy — Francja — Italja — Holandja.
epoki — epoki — krzyże — rabinizm— gotyk...
gdyż niema „przedwcześnie" i niema „zapóźno" na świecie.

Otom posługacz świątyni wormackiej,
co idzie w ciemności z latarnią w ręku oświetlać zatarte
napisy nagrobków wspaniałej, minionej epoki.
Jam cały, cały — na ziemi.
Do Amsterdamu pójdę, by pomóc Spinozie w szlifierni
i w oczy jego spoglądać, droższe od drogich kamieni
i stać pod jego oknem w czas nocy i widzieć cień ręki
piszącej dzieło niezwykłe —
chcę mu koszulę wyprać na cześć poranku,
chcę żyć w niedoli jak on, jak on głód cierpieć
i klątwę rabinów na siebie przyjąć jak on.

Do Berdyczowa pójdę, do Rabi Lewi Icchaka, poety, do
dadaisty tego w „tałesie" i „tfilin"
Przyjdę, by nocą jaśnieć jak miesiąc i śpiewać: jest Bóg,
jest Bóg we wszechświecie
i wraz z nim żalić się: Ty, coś świat stworzył, czegoż to
jeszcze chcesz od narodu Twojego? !

— — — — — — — — —

Zawiodła mnie droga do domów śmierci, rozsianych po śnieżnym Sybirze,
towarzyszowi położę na ramię zmęczoną mą dłoń,
a mój towarzysz na śmierć jest skazany, na powieszenie,
lecz ja mu powiem: to nic —
i wyjdę z nim razem, jak wół ryczący o świcie, by w pętlę głowę swą włożyć jak w żłób — —
Hej, jakiż to cud i jaki to los! Chwile — jak gromy.
Krew płynie. Szaleje.
I trumny się niesie, a tarcze Dawida bieleją na kilku ponurych pokrowcach, —
to pieczęć trwogi, zbielałej na kredę — podają nam ją, jak chleba kawałek, a zęby szczękają.
A oto stanąłem na ciele Rassieji, nagi Żyd, siarką mnie czuć-
Hej, widzę Sodomę płonącą jak stos
i wieść leci z ust i dzwonów i gazet,
że car Mikołaj zginął tak marnie jak pies!
A paszcza Kremlu rozwarta jest jak Gehenna!
Więc zdarłem z ciała koszulę ostatnią i rany sam sobie zadałem,
by płukać koszulę w krwi własnej i sztandar czerwony z niej zrobić, na Kremlu zatknąć,
a potem we wszystkich cerkwiach moskiewskich dzwony siłą mojego ramienia się rozchybotały:
Cesarz — Mikołaj — zginął — marnie — jak pies — jak pies — jak pieees!

— — — — — — — — —

A teraz jestem Żyd polski, zwyczajny, brudny, do dworów szlacheckich wzywany w czas uczty,
Żyd, co zadziwia swym tańcem Majofes:
Nalałem sobie octu na włosy,
wije się pejs, jak się wije piosenka
i połyskuje chałat sobotni —
a Sara płacze,

to żona moja —
— Ej, nie płacz!
Panowie czekają
i biada mi, biada, gdy porwie ich gniew!
— Więc grajże mi, grajku,
do tańca Ma — jofes.
Niech porwą czarty duszę moich ojców,
niech porwą,
porwą, —
aj, aj, — Ma — jofes —
Zdrowie dziedzica!
Niech żyje Polska!
Majofes, Majofes, Ma —
jo — fes.
Niech żyje szlachcic!

Hańba ogromna
tańczy
na dworze
nogami
ciężkiemi
jak kłody.
— Niech żyje
dzie — — dzic!
Hej, grajże mi, grajku,
wal mocniej doboszu!
Wal, wal w moje plecy,
gdy bęben ci pęknie.
Nie szkodzi,
nie szkodzi,
na zdrowie
dzie — — dzi — — ca!
A czarty niech porwą dusze moich ojców!

— — — — — — — —

.... Potem chodzę w obłędzie po ukraińskich miasteczkach
bez szaty na nagiem ciele.
Ręka ma jedna jak łuk jest, a druga jak harfa
i błogosławię fantazji, co stwarza mi struny —
dźwięki się rodzą cudowne na cześć pogromów, na sławę
morderców.
Całemu światu, ludziom z wszech stron, Tytusom, Petlurom
gram moją pieśń niezwyczajną.
Hej, chodźcie do mnie, świętuję wesele, stoły są moją krwią
zastawione i ciałem mojem i na was czekają.
Przywiedźcie ze sobą wszystkich Chrystusów — już nikt nie
zapłaci trzydziestu srebrników.
Zawojem okrył swą głowę Nachman z Bracławia i płacze
Jeremjasz, a Jezus jest nagi i ogłuszony.
Trzech drogich gości stanęło przed kopcem z trupów,
trzech drogich gości spowiada się mową płomienną
(a czwarty słucha i milczy):
otośmy rośli jak trawa dla miecza Petlury,
otośmy rośli jak zboże pod sierp Denikina,
rośliśmy jak sitowie dla rzek ukraińskich,
jak słoma — —

A gwiazdy ciągle jeszcze świecą jasno.

— — — — — — — — —

A więc objąłem komendę — hej, słuchaj gromado żydowska
po obu brzegach dnieprowych:
precz stąd do wszystkich djabłów!
do wszy — stkich dja — błów!
W dzień będziem pościć, a nocą pić rosę, jak czysty alkohol
z dłoni, co służy za kubek, —
jesień jest teraz na świecie, jesień nas zmyje!
Ja was prowadzę i walę czaszką w zamknięte bramy graniczne:

— Hej, proszę o — two — rzyć — —!
— Szalony...
Naprawdę: szalony. Bo jakżeż głową w mur walić?
Gdzież Bóg, co lepszy jest od Tytusa, lub od żołnierzy
straży granicznej?
A jeśli jest — tchórz to płaczliwy
i chowa się w chmurach, jak stary dziadek za piecem,
bo strach mu przed pogromami w miasteczkach żydowskich.

— — — — — — — —

Nie obcym mi przeskok.
Wszak jestem poeta hebrejski, co czeka Mesjasza, i życie
swoje poprzednie w Europie zostawił.
Otom w Dulczina... ja tylko, Żyd jeden. Wśród grobów
tureckich i urwisk skalistych.
I w każdy kamień uderzam i proszę i wołam:
— gdzie jest twój grób, Mohammed Effendi, Mesjaszu, Sabataj
Cwi, synu żydowskiej kobiety i mężu kobiety żydowskiej?
Krwią z krwi mej jesteś i wieszczy w tobie duch płonie,
w ciele człowieka prostego, co królem miał stać się w narodzie
i radość nakazał w rocznicę zburzenia świątyni, pochodnie
rozpalał z rozpaczy wszelakiej!
Powstań-że z martwych, Sabbataj — Mesjaszu,
coś był wspaniałym nawet i w dzień ten, gdyś przeszedł
na Islam, nawet gdy imię twe było Mohammed Effendi!
Przebacz ludowi twojemu! Patrz: w prochu się czołga, a krew
ma sczerniałą z starości
i niesie na sobie rozpacz tysięcy jesieni!
Przebacz mu, iż chciał łaski niezwykłej, nagrody nadludzkiej
za to, że zawsze żył w trwodze, jak jagnię bezbronne!
Przebacz mu, że na cud z nieba czekał i śnił o Jeruzalem
wiecznem, wzniesionem przez Boga i jego Serafów!
Powstań Sabbataj Cwi i wnijdź na górę królewską, bramę
rozewrzyj!

Bóg nasz jest niemy jak skały i Bóg nasz nie karze morderców,
nawet gdy dziecię ostatnie mordują!
Nadszedł już czas: nie promienieje więcej tęczowy łuk nad
głowami wygnańców.
Niema ni śladu wspaniałej świetności królestwa.
Niema nikogo, ktoby opatrzył rany na ciele żydowskiem,
kłutem tysiącem noży w obliczu świata.
I niema igły, ni nici, ni ręki zbawczej, co potrafiłaby zeszyć
serce rozdarte na dwoje.
Niema Mesjasza w narodzie i niema cienia Mesjasza.
Byli Mesjasze, co rozjaśniali pochodnią ciemności nasze
i w triumfalnem szli bohaterstwie ku bramie złotej — —
Lecz biada: jakże jest marny ich koniec — narzeka niedola
nasza.
I nawet ty trąciłeś nogą królestwo i sen niebosiężny, by do
sułtana uciec, do Istambułu
i głowę twoją, co pomazaną być miała, kornie nachylić ku
śmierci — —
a więc umarłeś — nie król żydowski, nie Sabbataj Cwi, lecz
Mohammed Effendi! — — —

I piękne są dni i przepiękne noce, lecz gwiazdy dręczą niebo
błękitne i ciało moje spalają:
gwiazdy — to wrzody na ciele schorzałem Hioba.

A. SZLIOŃSKI

PŁODNOŚĆ

I.

Przeszedł tu jakiś obdarty wędrowiec,
Cuchnący gnojem, szerzący odrazę —
To przeszedł pasterz z stadem czarnych owiec,
Owce rozsiały tu swój złoty nawóz.

Wy powiadacie: ruja i porubstwo,
A ja wam mówię: pole jest ciężarne —
I ja powiadam: gwiazdy? gwiazdy — głupstwo,
Lecz kto zasieje we mnie swoje ziarno?

Kto mnie swem ziarnem, swem ziarnem zapłodni,
Gdy czuję w sobie krwi gorącej moc?
Wlokę się jak Putyfar stary co dnia,
Lecz jak Zulejka — płomienna ma noc.

Nadchodzi smutek — Józef pięknolicy —
„Chodź do mnie, dajże się uwieść, młodzieńcze!“
Lecz Józef wybiegł nagi na ulicę,
Bo płaszcz zostawił w jej namiętnej ręce.

Zulejka leży sama na swem łożu,
Nasienia czeka w nadaremnej męce —
I tylko ziemia brzemienna jest zbożem,
Bo użyźniona jest gnojem jagnięcym.

II.

Pod twoje jarzmo, ziemio, kark swój zginam,
Jak wół pędzony na robotę w pole.
Gdzie pług i bat? me pola — pustynia.
Prowadź, chcę orać swą rolę.

Prowadź na pole, co leży ugorem —
Chcę je użyźnić pracą mych rąk.
Z żłobu własnego jeść słomę wieczorem,
A rankiem trawę z własnych łąk.

Oto kark zgiąłem — poprowadź do celu,
Tęsknię za płodem, nasieniem i ciałem — — —
Jak głowa Desdemony przy Otellu,
Tak ja, ziemio moja, w twem łonie zdziczałem.

III.

Śpiewaliście: serca nasze — to złote podwoje,
Wiodące w cudny pałac, gdzie drży lutni śpiew —
A ja chciałbym mieć serce spulchnione gnojem
I chciałbym, by było jak obora i chlew.

Bo kocham każde serce nawozem żyźnione.
Chodźcie trzody, — wraz ze mną płódźcie się i mnóżcie.
Podajcie białem mlekiem nabrzmiałe wymiona
I gnój wasz tłusty, ciepły na mem polu łóżcie!

Śpiewaliście: serca nasze — gwiazdy roziskrzone,
A ja — chciałbym być łąką, polem pełnem zboża,
Bom wasze gwiazdy, jak źrałe winogrona,
Już dawno z winnic zebrał i już dawno pożarł.

CWI LEDERER

HYMN DO „KWISZU“ *)

Tobie — „kwiszu“ — potęgo, śpiewam tę pieśń.

Twoje ciało bielejące rzuciliśmy jak strzałę
poprzez pola zielone,
poprzez wzgórza — ku dolinie! —

A teraz jaśniejesz w dali
i pełen szczęścia jesteś,
jakgdybyś wiedział, że myśmy twoi twórcy,
my, dumna młodzież.

Ale my —
stajemy oto przed tobą, cudzie z kamienia,
i dziwim się:
jakżeśmy to cię zmogli?

I w tobie podobieństwo nasze znajdujemy.

Chcieliśmy wolności —
i kowaliśmy ciebie:
rozkaz potężny,
co drogę wskazuje i nad drożynami włada.

Sprawiedliwości pragnęliśmy
i stworzyliśmy ciebie,
coś mocny jest i pewny
i ścieżkami gardzisz.

---

*) „kwisz“ — szosa

I za miłością byliśmy stęsknieni —
więc tobie daliśmy życie,
dla ciebie ciosając kamienie
w łonie matki skalistej.

Jakżeśmy to mogli?

Ten cud jest cudem Twoim,
młodzieży dumna,
i Twoim symbolem.

Oto bez końca idziesz
w kraj —
i żyjesz, chociaż cię stworzono,
i pragniesz, chociaż cię stworzono.

Twardą jesteś i mocną
i żądasz i walczysz —
lecz ponad wszystkiem, ponad wszystkiem
Powołanie twoje.

ASZER BARASZ

ELEGJA BEDUINKI NA ŚMIERĆ OBLUBIEŃCA.

Nie wdziewajcie innych szat jeno czarne,
Usiądźcie przy mnie i zapłaczcie rzewnie,
Rdzę z mego serca zetrzyjcie.

Serce moje ukochało jasnowłosego,
Smukłego jak trzcina bambusu, —
Kark jego jako kark bawołu mocny, ale piękniejszy.

Gdzie dzień ów, kiedy na klaczy swej jeździł,
Cugli popuszczał i pędził zawrotnie —
Piękną jest klacz, lecz jeździec od klaczy piękniejszy.

Rosły jest on i wdzięku dodaje mu broń,
Gdy lekko, roztropnie stąpa
I oszczep ściska w dłoni swej krzepkiej.

Hej, młodzieńcy — towarzysze jego!
Idźcie na grób oblubieńca,
Co umarł niepoślubiony i mnie nie posiadł.

Zagrzmiała głośno rusznica,
Proch jej ukryty jest w mem ciele
i kula w mem sercu schowana.

A teraz oto tułaczkę pokochałam,
Nie mam własnego ogniska,
Szeikowie srożą się na mą rodzinę.

Wyswobodziłam go z śmiertelnych kleszczy ziemi,
Lecz gdym do bladych policzków przypadła —
Ujrzałam: zgnilizną są zżarte.

A. SZLIOŃSKI

ŻAR

I.

Kiedy słońce lipcowe taranami gorąca w czaszkę wali,
a język wyschły mamroce bezsilnie: wody! wody!
każę wtedy spocząć zmęczonej karawanie
na twoim brzuchu nagim i spalonym
i do tysiąckrotnego wołania twojego
przyłączyć chcę i mój krzyk pragnienia: wody!

Mój krzyk:
lew ryczy w żarze pustynnym,
kozica beczy na łysinie góry;
mój ząb wpośród dziąseł — jest jak rozpalonej skały jęk;
moje wargi — to ziemi krusząca się gruda;
mój język — to wołanie gałęzi poogołacanych,
wczas gdy małe ich pączki omdlewają
ssąc darmo wyschłe piersi — — —
Tak płynie ze spalonych ust okrzyk buntu.

Jaszczurka złotogrzbietna, żółtobrzuszna
pełza wśród spalonych krzaków,
a wąż pragnieniem dręczony szeleści na piaskach zbielałych
i ciężkie objawienie ciałem swojem kreśli
na pergaminie pustyni.
A tam — nad pieczary rozpalonym głazem
sęp — gryf zawodzi do Fatamorgany,
a szpony jego i dziób wykuwają prośbę:
wody!
Pełzam i ja — Izmael na piaskach pustyni,
wielbłądy moje opuściły szyje:

— „gdzie twoje soki — ziemio?!"
A ty, Hagar murzynko, modlisz się do niebios,
by wiatr zesłały północny,
błagasz o jałmużnę rosy, błogosławieństwo deszczu
i omdlewasz.

A jeśli się wiatr ulituje nad tobą
i ucałuje czoło trawione gorączką —
jest on jak matka stroskana, co chłodną dłoń
do skroni syna chorego przykłada — —
Niech więc ogarnie wicher pustynię, trzodę i ciało!
Błogosławionym niech będzie wicher ożywczy!

II

Oto uciekło z trzody koźlę czarne.
Uciekaj-że koźlę!
Dokąd łaknienie cię zaprowadzi —
uciekaj!
Za tobą pójdę i ja. — — —
Oto aż dotąd zawiodło mnie koźlę,
do krzaku jałowca.
Tu będę trzody pasał, tu niech się pasie me ciało.
Kłaniają się ciernie koźlęciu do ziemi,
całują ciało moje,
a krew rży we mnie, jak rżą stada koni
za wiosną pieszczącą ich nozdrza.

Ziemio!
otom potykał się z bogami
i ludźmi —
i stałem się — człowiek.
Jam — ciało,
tyś — ziemia, —
i któż jeszcze umie płodzić jak my?

Oto nadchodzą trzody
i kroczy wielbłądów karawana ku mnie.
A gdzie ludzie?
Czemu nie idą w ślady czarnych owiec?
Mówicie: człowiek — to wielka rzecz!
Ale czy znacie praokrzyk:
słońca! — wody! — ziemi! —
gdy każde słowo jest jak kamień,
strącany przez dzikiego łowcę mamutów?
I nawet koźlę moje wam mówi:
człowiek — to rodzenie, bydlę.

Słuchajcie!
Oto daję wam tablice mojego przymierza —
połknijcie je!
Płodźcie się i mnóżcie i jak krzaki kolcowe pokryjcie ziemię,
paznokcie wasze niechaj będą jako dzikie ciernie,
a na wasze ciało wyschłe niech spłynie błogosławieństwo
nasienia, piersi i łona.

Trzodo!
Podaję ci długi bicz mojego żywota,
na którym paznokciem ostrym
wyryłem imię moje własne:
człowiek! —

ESTERA RAW

*
* * *

Pokochasz mnie,
lecz serce twe na strzępy się potarga —
bo kochanką twoją
nigdy już nie będę;
bo my tylko na wyżynach smutku
spocząć możemy,
ale do nizin uścisków w alkowie
nie zstąpimy;
bo jeszcze ciągle czatuję, czatuję
pod eukaliptusem rozpalonym —
miłością oszalała.

RACHEL

*
* *

Weźmij rękę po bratersku
W swoje dłonie —
My oboje wiemy: okręt
Nasz na morzu wnet utonie.

Całuj, miły, łzę i pociesz.
Serce płacze.
My oboje wiemy: niema
Ukojenia dla tułaczy.

URI CWI GRINBERG

Z cyklu: *„JEROZOLIMA DOCZESNA"*.

U TWOICH STÓP.

U Twoich stóp składają królowie korony i na twarz padają —
to niewolnicy Twoi i Boga Twojego.
I nawet Rzym śle do Ciebie swój marmur, kryształ i złoto,
aby na ciele Twojem świątynię wspaniałą zbudować.
A my — my Twoje dzieci obdarte — przyszliśmy z krajów
dalekich, gdy bunt nam narodził się w sercu,
by być tu poprostu synami Twojego królestwa: dzikiego
kaktusu i skał.
Przyszliśmy z krajów dalekich z tobołkiem małym na
plecach —
w tobołku skryliśmy pstrą naszą szatę jak żywą, schwytaną
jaszczurkę.
Srożył się ojciec, płakała matka i łóżko białe osierociało.
Niesiem Ci w darze krew i robocze dłonie, muskuły nasze
i miłość i barki,
których losem jest dźwigać globus hebrejski w trudzie
i znoju —
i wszystkie sny i marzenia nasze daliśmy zato, by móc
robotnikiem na ziemi zdziczałej Twej zostać.
Zapytaj Ty, przez Tytusa spalona: jest jeszcze kto nam
podobny?
Jest-li na świecie kto jeszcze, kto pała miłością tak przeogromną
do ruin swojego królestwa?
Gdzie jeszcze słucha się tak miłosiernie wycia szakali?
Gdzie jeszcze kocha się febrę miłością czerwoną?
Gdzie jeszcze chudnie się tak i milczy i skały całuje jak tu?
Żar spala dzień w dzień młodość rozkoszną i sypie popiół jak
złoto w szczeliny skalne.

Lecz my nie żądamy zapłaty za naszą niedolę —
i tylko ścielem moczary ciałami naszych najdroższych,
tych, co na bagnach morderczych szczepili eukaliptusy,
a teraz za żerowisko służą robakom kanaanejskim —
my wierni Tobie gotowiśmy ciałem, co płonie w malarji,
do Twego królestwa, co przyjdzie —
most rozpalony zbudować, rzucony ponad przepaścią krwi
Jakgdyby wojna tu była i miecz wyostrzony śmierć szerzył,
my Ci kurhany usypiem z trupów, jeden przy drugim!
A ktoś, kto nie wierzy w majestat zawarty w cierpieniu,
od skały do skały się tuła, narzeka, złorzeczy —
przebacz mu, przebacz i pozwól złorzeczyć, pozwól mu iść
od skały do skały, bo ciężka wezbrała w nim gorycz —
a on nie może oderwać rękoma głowy od ciała
i rzucić nią jak czerepem o kamień posępny.
A przecie nawet w poszepcie węża tego zawarte jest echo
pieśni Twej wzniosłej.
Bo jego stopy tańczyły tu „horrę“ w takt pieśni „Buduje Bóg
Galil“, w noc rozgwieżdżoną — — —
A zanim do Jaffy zwróci swe kroki, do biura reemigracji —
Jeszcze tu wiele dni, nocy przepędzi i w skałę bić będzie łomem
żelaznym — u Twoich stóp —
i jeść będzie chleb Twój święty
i będzie z goryczą papieros palił, z okiem czerwonem od łez —
i może raz jeszcze zatańczy „horrę“ — i może tylko raz jeszcze
zaśpiewa — zakrzyczy: „Buduje Bóg Galil!“, —
a będzie to w noc rozgwieżdżoną.

A. ŚZLIONSKI

KATARYNKA.

Na katarynce: klatka,
w klatce: papuga,
deszcz puka jak kołatka.
Szaruga — szaruga.

A ja tułacz bezimienny,
bez ojca,
bez matki —
stoję długo, stoję długo
w dzień jesienny
koło klatki.
Hej, papugo,
wywróż-że
coś włóczędze — niedołędze
morzonemu głodem — —
ot tak — mimochodem.

— „Tu — tu, pomyśl-no troszeczkę,
sieczka, hreczka — — " —
mówi klatka i papuga
i karteczka.
A ja język swój wysunę,
język długi,
no i plunę
w dzień szarugi:
tfu!

OŁOWIANE OCZY.

Mój najdroższy miał ciężkie, ołowiane oczy:
Nad mą młodością obłok zawisnął ponury...
Ale dobrze mi było w szarości obłocznej,
Bo miłość była błyskawicą w chmurze mrocznej.

Słowa mego kochanka — wód dalekich poszum
Niosły z sobą i radość i wolność i szczęście —
Och, kłamał mój najdroższy, kłamstwo słowa głoszą,
Ale ja mu wierzyłam mamiona rozkoszą.

Pytają: czemu kochasz niebiosa spłakane,
Deszcze, jesień i chłodny, przenikliwy wiatr?
Nie wiedzą, ach nie wiedzą: wiatr — to mój kochanek
I niebo chmurne — jego oczy ołowiane.

ESTERA RAW

*
* *

I

Smukła, złośliwa
leżę w cieniu jałowca
i kieruję z uśmiechem
jego kolce w twą pierś.
Światło zalewa równinę.
Każdy fałd mojej szaty
szepce:
ku śmierci idziesz, dziewczyno
biała i taneczna.
Nadchodzisz ty,
a ja lekko wywijam
mieczem połyskującym
i w samo południe
wśród białych blaskiem pól
o losie nas obojga
rozstrzygam jednem cięciem.

II

Jak trup ptaka na prądzie wody
płynąłeś wtedy ku mnie:
oczy twoje obrócone w słup,
oczy twoje złoto-mętne
jeszcze szepcą cicho;
smutne są ramiona twoje,
opadają ciężko;
oliwka nędzna nad nami
i blade cienie u stóp.

III.

Dobrze jest żyć
w blasku oczu twoich jasnych,
gdy patrzą — pręży się ciało i pragnie.
Jesteś jak eukaliptus po burzy:
zmęczony, mocny i jeszcze rozedrgany wichrem.
Głową do piersi ci sięgam,
a twoje dobre oczy
ciepło spoglądają na mnie.

GRUSZA.

To figiel wiosny... pewnego pięknego poranku
budząc się widzisz, że grusza
tysiącem kwiatów zalśniła;
wiesz doskonale: góra, co legła jesienią na piersi
w mig się skruszyła.

Rozumiesz? Nie można zawsze pławić się w smutku,
bo zwiędnął mały kwiatuszek
jakiejś jesieni —
w czas kiedy wiosna jest pieszczotliwa i kładzie cichutko
prawie pod same okno ogromny, wonny wieniec.

ŚWIERKI.

O świerki, w kraju mojego lasach dalekich,
Spokój i radość duszy w waszą daję opiekę.
Wiele drzew w pięknej ojczyźnie mojej się kołysze,
Lecz kto tak, jak wy, świerki umiłował ciszę.

Kiedy słońce zabłyśnie — do jasnego błękitu
Wyciągacie gałęzie, jak ramiona świeczników.
Tak stali ongiś w królestwie świętego Syonu
Wasi bracia — wysokie cedry Libanonu.

*
*

Czarne djabły pościnały kwiaty,
Nocą burza je w morze porwała.
W blasku miesięcznej poświaty
Krew korytem z ogrodu spływała.

A gdym rankiem obudził się w zorzy,
Mroźny ból ścisnął mocno za gardło —
Było słońce i jasność i morze,
Ale lato umarło.

* * *

I.

Pusta
jest moja dusza,
naoścież rozwarta.
Niechaj kto chce — wejdzie
i wyjdzie, kiedy zechce.
Niema warty u progu,
ni strażnika przy drzwiach —
Pusta jest moja dusza
i cicha.

II

Broczą, broczą w błocie dni,
wloką się bez celu.
Cień za nimi szary pełza,
a na grzbietach niosą ciężar
tłumnej wrzawy życia.
Tak-to idą w znoju
ludzie pochyleni.
Grzbiet jednego dnia ich niesie
i podaje następnemu —
płacą za to pieśnią życia.
Potem, kiedyś — gdy końcowa nuta pieśni zmilknie,
dzień ostatni zrzuci do czarnego dołu
zimne ciała trupów.

ESTERA RAW

MODLITWA KOBIETY.

Postanowiliśmy drogie ciężary
nieść za życia.
Niechaj nam wierność światłem będzie przydrożnem,
niechaj nam rzewna i czysta
dniem i nocą przyświeca;
i niechaj dzieci nasze wyrosną
na ludzi dobrych, i ludzi pięknych;
by burz nie zaznały,
ni krętych ścieżyn.

Spraw, by tak stało się — Panie!

MORDECHAJ TEMKIN.

JERUZALEM.

Tyś jest miasto nad miastami,
W tobie wiara jest i zdrada,
W murach twych pieśń jeszcze gra mi
O świetności, która padła.

A dni przędą się legendą —
Kto cię pozna? Kto oceni?
Ja, jak ślepiec śpiewać będę
Pieśń o twoim wyzwoleniu.

Chodzę codzień, chodzę smętny
Po uliczkach twoich ciasnych —
Gdzie zaułek jest posępny
Stamtąd płynie ból i jasność.

Ból przeszłości, ból porodu
Ponad miastem leży całem...
Tyś jest najpiękniejszym z grodów —
Jeruzalem!

ZA DNIA JESZCZE SEN KOŁYSZE...

Za dnia jeszcze sen kołysze,
Czuwam, kiedy noc nadchodzi,
Kiedy śpiewam — dusza milczy,
Kiedy milczę — pieśń się rodzi.

Odkąd mię zawołał sen mój,
Sen mój z drugiej życia strony —
Oddać życie swoje chcę mu
I pieśń słońcem ozłoconą.

Więc choć ciężki trud i męka,
Jednak szczęście mi bezcenne
Dane jest: w miłości klękać
Przed mym bogiem bezimiennym.

Cud mi radość w serce włożył,
Cichą pieśń daruję ciszy —
Kogóż jeszcze w świecie bożym
Szczęście tak jak mnie kołysze?

URI CWI GRINBERG

z cyklu: „CIAŁO I KREW“

Wierzyć gorąco i Boga czuć w sercu i we krwi —
a Bóg nie popatrzy ani na chwilę jedyną
cicho, serdecznie, tak by zapomnieć o wszystkiem —
jakie to straszne!

I iść tak, iść tak pod słońcem i iść pod księżycem —:
gdzież jest na świecie samotność tej sierocości podobna?

Dwadzieścia osiem owieczek wiodłem po stepie spalonym
i nigdzie wody nie było, więc padły dręczone pragnieniem —
biada mi, biada — jam pasterz.

A wiedział to Bóg Wiekuisty, lecz zamknął swe oczy.

KURA.

Kura podskakuje z bliska
do kurnika.
Ja do celu kamień ciskam,
kamień znika.

Blady księżyc łuk swój toczy
wieczną drogą.
Oślepiony cicho kroczę
aż do progu.

Kura tylko na igraszkę
podskoczyła.
Ktoś tam jej rozpłatał czaszkę
i krew była.

Tak, na progu padniem wszyscy — ba
i wnet.
Pocóż wszystko znać od a
aż do zet?!

NA GÓRACH MIGDALU.

Na górach Migdalu jest cisza południa —
Patrz: Genezaret przegląda się w niebie, —
Ty jesteś przy mnie, cudowna i cudna
I wiem, że życie me jest cząstką ciebie.

Z tamtej jeziora strony stoją góry,
Tam drzemie Dżolan z bratem Gileadem,
Zrywa się ptak do lotu, białopióry —
Na przeszłe dzieje łaska jasna pada.

Ja jestem z tobą, przyszliśmy, kraj wołał, —
Tu wcałujemy się w sny nasze złote —
Wielkie jest światło i spokój dokoła,
Jest szczęście rzeczywiste, bez tęsknoty.

MORDECHAJ TEMKIN.

MUR PŁACZU.

Zostałeś — ostatek potęgi,
Zostałeś dla modlitw i płaczu —
Zdaleka przyszedłem do ciebie, —
Podeprzyj me życie tułacze!

Pozwól mi stanąć przy sobie
I w świetność minioną się wkochać,
Milczeć przy twoich kamieniach
I słuchać jęków i szlochań.

A głowa moja się schyli
W wielu schylonych głów lesie.
Z szczelin ran twoich pieśń idzie,
Jęk idzie i wtedy pieśń rwie się.

Nie będę zatykał szczelin,
Ani tynkował kamieni —
Zdala przyszedłem znużony,
Pozwól mi spocząć w swym cieniu.

AWIGDOR HAMEIRI

MODLITWA HASMONEUSZA.

Boże Cherubów!
Pomóż mi w walce ciężkiej, w walce przeciw niewoli,
Wesprzyj mnie Panie, gdy serce boli,
Bo ołtarz święty jest bezczeszczony —
Bądź ze mną Panie, w czasie niedoli.

Boże Cherubów!
Słyszysz, jak trąby moje grają i huczą, jak morze —
Do Ciebie wznoszę błaganie Boże!
Ty wiesz, gdzie moc ma i siła moja —
Gdyś Ty mą twierdzą nikt mnie nie zmoże.

Boże Cherubów!
Spraw, by łaska błogosławieństwa Twego w nas rosła,
By nam zwycięstwo wielkie przyniosła, —
Niech cud się stanie! Uczyń to Panie!
Synom Matatjaszowym błogosław!

Boże Cherubów!
Myśli chore, oczy chore Twoim spal płomieniem,
Pustkę zatop w krwi mojej czerwieni,
Smutek wielki mój roztrzaskaj Boże,
Przyjm ofiarę: mnie — całopalenie.

J. LAMDAN

UDRĘKA CIEŻKIEGO ZMIERZCHU

Rozpostarte są gałęzie obnażone
ku niebiosom i ku ziemi:
nagi jestem —
Potrząsałem złoty pył z marzenia
i zostałem — rozwiązaniem snu...
Wziąłem rozwód z wiosną, wziąłem rozwód z latem,
jestem już po tamtej stronie ranków i południ —
Więc nie modlę się do młodych pąków, ani do słonecznych
blasków —
Rozwiązaniem snu własnego jestem
i w udręce ciężkich zmierzchów
nagie swe gałęzie rozpościeram
w jesień.

*
* *

Dmijcie, wiatry, w liście moje zżółkłe —
nieście je ku ludziom, co się bawią wiosną
i puszczają na kałuże okręciki papierowe
i radują się: „to morza!“ —
rzućcie je na ciche grządki kwiatów,
co do słońca i jasnego nieba śmieją się zalotnie...
nieście je w rozwarte usta kłamców,
co kłaniają się ognikom błędnym
i fałszerstwu zorzy...
Dmijcie, dmijcie, wiatry, w liście moje zżółkłe,
nieście je we wszystkie świata strony, —
ja żyć będę cicho i samotnie,
z snów ogołocony chodzić będę w zmierzchu,
jak żyjący symbol człowieczej nagości.

A S Z E R B A R A S Z

CZAS PIEŚNI.

Miast pustkę opiewać,
wtórować nicością
i ziewać frazesem
z chaosu w chaos —
lepiej jest pióro złamać
i drzemać bezczynnie
w miękkiem i ciepłem
lenistwie.

Nadejdzie dzień,
co ze snu wyrwie duszę;
rwący prąd życia zatęskni
za twojem sercem,
jak tęskni wino szlachetne
za kruchym kryształem puharu;
zadźwięczy złotostrunnie
krtań twoja napięta radością;
i całą duszą zawołasz:
zstąp, natchnij
nieśmiertelny duchu wieszczy,
duchu braci moich wielkich —
jam gotów!

W NIEDOLI ŻYDOWSKIEJ.

Dwoje oczu spragnionych więzi moja czaszka,
Z poza zasłony oczu nicość szydzi.
Boże wszechmogący,
Chory jest syn twój, chory, niedowidzi.

Więc nie szafuj hojnie blaskiem swoim,
Słabe mam oczy — kornie ciebie proszę,
Boże Wszechmogący,
Na grosze rozmień światło swe, na grosze.

Za wielka światłość, małe — słowa moje,
Dziedzictwo moje — treny i noc głucha.
Boże wszechmogący,
Gdyś ty mnie wołał — zawsze-m ciebie słuchał.

MORDECHAJ TEMKIN.

PIEŚŃ WIECZORNA.

Morze zapłonęło łuną.
Potem cisza· Potem cień.
Pocóż jeszcze jęczą struny,
Gdy u schyłku jest mój dzień?

Zadławiono wiarę w głuszy,
Sny powycinano w pień.
Jakżeż mi rozśpiewać duszę,
Gdy u schyłku jest mój dzień?

Wzgarda, rozpacz i udręka
Potargały szczątki śnień.
Gdzie jest bratnia, zbawcza ręka,
Gdy u schyłku jest mój dzień?

Śpiewa ptak, choć zachód rychło
Zrzuci na las mroczny cień.
Tak i ja zapłaczę cicho.
Gdy u schyłku jest mój dzień?

WIDZENIE.

Miałem objawienie ciężkie:
Ze snu kamiennego, długowiecznego
Zbudził się Bóg —
Był smutny, bardzo się postarzał
I zstąpił w świat.
A ziemia była wtedy umęczona,
Już nie wierzyła więcej w nadzieję,
Ani ratunek...
Widział mnie wtedy, błądziłem wśród ruin,
Z błyskiem szaleństwa w oku i boleścią w sercu —
Powiedział Bóg:
Człowieku,
Zerwij się, podrzyj na strzępy obłoki
Twego przekleństwa, którem się upajasz,
Jak winem...
Nie bacz na szlochy, nie wsłuchuj się w płacz,
Kres już żałobie...
Zapomniał świat o bólu swoim, zgnębił żal
i wrócił do codziennej swojej pracy —
Wróć-że i ty!
Zrzuć z siebie szaty dostojne, talar sędziowski —
W lnianych spodenkach i szarej koszuli
Idź — naród czeka w ojczyźnie pustynnej —
Weź rydel w ręce i weź w ręce pług —

Razem z innymi, którzy tam pracują,
Czyść kraj z kamieni i nawadniaj rolę,
Razem z innymi oraj i zasiewaj —
Pot niech się leje z twego czoła, ramię twoje
Niech będzie wyciągnięte ku znojowi
I szczęściu...
A nocą, kiedy legniesz znużony na macie
I przeszłość swoją przepastną zapomnisz,
A przyszłość twoja przed tobą — to ziemia od potu wilgotna—
Zejdę wtedy do was, pozdrowię was błogosławieństwem,
Oblicze moje zobaczysz, oblicze nieznane ci jeszcze,
Oblicze śmiertelnie znużone człowieka, co ciężar dźwiga
I wie jak twardym jest los, jak ciężkiem życie na ziemi.

J. LAMDAN

Z poematu „M a s s a d a“

GDY WIEJE CHAMSIN.

A kiedy z obozu wyszedłem, na drodze uderzył mnie upał.
Wtedy uciekłem od żaru wichrów do krzaków przydrożnych,
Ale nie chłodził ich cień.
Schyliłem głowę i nie żywiłem więcej nadziei,
Bowiem wiedziałem:
Tu nawet cień roztapia się w żarze,
Tu nie zna Bóg miłosierdzia.
I opuszczony jak ja jest krzak
I tak narzeka:
„Jakiż to dla mnie wstyd i jakiż to dla mnie ból —
Dałeś mi, Panie, cień,
A cień nie chłodzi wędrowca...“

— — Poszum dalekich lasów świerkowych pieści me uszy.
— — Arka dzieciństwa płynie po wodzie rzeczułki ojczystej
Między cienistem sitowiem — —
Rzucam wspomnienia wczorajsze, rzucam je precz.
Wyrwałem swoje korzenie z ziemi bogatej i płodnej —
Jeśli mi żar je tu suszy —
Niech schną!
Ale do ciebie, kiedy mi źle jest,
Ziemio daleka, nie wrócę.
Bo słońce, które nad tobą świeci, jest żółtą plamą mej hańby,
Więc tu przyszedłem, by znosić upał innego słońca.
A jeśli mnie przeklnie ono,
Wezmę przekleństwo na grzbiet,

Bo jestem dumny syn Izraela
I nie chcę już więcej schroniska
Innego szukać — —
Jakżeż ci mało udzielił Bóg swej łaski, Massado,
Twierdzo, rzucona w kleszcze pustyni i morza — —
I cóż ty, matko nieszczęsna, poczniesz, gdy będą spragnieni żołnierze,
Gdy głowy swoje na twojem ukryją łonie,
Łonie już najostatniejszem?...
Nieme pragnienie moje zawisło tobie na szyi
Ale nie krzyczę, ani napieram — wiem: jesteś biedna —
Wiem wszystko... Więc poco jeszcze pierś mi podajesz,
Pierś swoją wyschłą? — — —

Czemu płakała Hagar nad Izmaelem,
Kiedy zabrakło wody?
Czemu płakała?
Izmael wyrósł na syna pustyni dzikiego,
Postrachem jest jego łuk, —
Izmael jedzie na swoim wielbłądzie
Ze śpiewem na ustach i knowa zbrodnicze zamiary.
To Sarze, to Sarze płakać nad synem drogim Izakiem,
Co został rzucony samotny w pustynię
Odkryj-że, odkryj, aniele boży,
Wody źródełko, poprowadź w cień,
Bo mamy usta spalone,
Języki wyschłe pragnieniem.
Ratuj! Bo niema matki, która-by mogła wołać,
Do ciebie wołać!
Pod krzakiem sierocym w pustyni
Nie leży syn Egipcjanki.
Tam Izak mdleje z pragnienia,
Syn Abrahama i Sary.

OCZEKIWANIE.

Oczy wytężać w bezustannej złudzie,
Wyciągać ręce w przepaścistą przestrzeń
I nadsłuchiwać: może jednak jeszcze
Stanie się cud, modlić się: przyjdź cudzie!...

Rozpaczać krwawo, nadziei się chwytać,
Że wszystko będzie dobrze — słodko wierzyć,
Zerwać się, potem paść i cicho leżeć, —
Przeklinać i radośnie wyrok witać...

Szukać w wspomnieniach — może przeszłe cienie
Dadzą ratunek, ukoją swą łaską,
Płakać bezgłośnie i tak aż do brzasku
Upajać się słodkiem i gorzkiem cierpieniem.

M. ZATORI

*
* *

Drogi uciekają i w dali gdzieś giną,
Wiją się i wznoszą, znowu opadają —
Sny się opuszczają lekką pajęczyną,
Srebrem połyskują, we mgle omdlewają.

Błąkam się po polach — wyciągnięta ręka
Pragnie schwycić zgubioną za młodu nić jasną;
I znów jak dziecko jestem, co przed matką klęka,
I znowu błyszczy droga, jak złociste pasmo.

*
* *

Czerwień spada na me dni posępne,
Chory smutek mieszka w drodze krętej —
Jakżeż mogę znaleźć przystań cichą,
Gdy me serce jeszcze jest zamknięte?

Znikł majestat boży z gór Synaju,
Odszedł prawodawca — z nim tablice — —
Przykazania giną gdzieś w oddali. —
Chmury są, lecz niema błyskawicy —

Huczą we mnie jeszcze złe popędy,
Tak jak w muszli pamięć fali szemrze —
Jeszcze czeka na mnie uświęcenie,
Jeszcze czeka na mnie Twe przymierze.

Duszę moją, Panie, Tobie ścielę,
Może przyjmiesz późną mą ofiarę —
To dziękczynność moja wierna tęskni
Za kapłaństwem, łaską i za wiarą.

AWIGDOR HAMEIRI

BEZ SMUTKU I GORYCZY

Być może wtedy z oczu waszych łzy ciche spłyną —
Przyjdźcie do grobu mojego zwiastować nowinę,
Przyjdźcie zwiastować nowinę.

Słodka mi będzie łza wasza, jak rosa wiośniana,
Co spada na pustkę martwą, na mękę wygnania.
Co spada na mękę wygnania.

Przyjdźcie, zmówcie nad grobem modlitwę gorącą,
Błogosławioną, żyjącą już lat dwa tysiące.
Żyjącą już lat dwa tysiące.

Uświęci się dusza moja, gdy modły usłyszy,
Uśmiechnie się wtedy bez smutku i bez goryczy.
Bez smutku i bez goryczy.

*
* *

Gorzko płacze dusza moja —
czemu płacze dusza?
Ciężko jest na łożu życia,
ciemno, niema słońca.
Dni pogardę dla niej mają,
a szyderstwo noce.
Już nie nęci piękno dziewcząt,
nie pociąga jasność.
Już kochanka nie rozpali
wiecznego płomienia.
Gdzie poduszka dla znużonej głowy?
gdzie purpura dla poranku króla?
Z królewskiego rodu jest on promiennego,
w swoich snach króluje on na wieki.
Potężniejszym jest od śmierci,
nie zmarnuje go zdradliwe życie.
Więc pogardza blichtrem tłumu
i nie szuka powszedniego ukojenia.
Od łzy jego pęka niebo
i przepaści serce pęka —
I sam Bóg się niepokoi,
nie wystarczy koić zwykłą pieśnią:
Ale zburzyć światów fundamenty
i obronić istność całą w nicość,
Wszystko, co zagradza drogę snom,
by na światło wyprowadzić go wieczyste.

A. SZLIONSKI

WRZESIEŃ

Doprawdy ja-m poeta, więc muszę wam nucić
Piosenki smutne, jak jesienne, mgliste ranki.
Już dawno odszedł syn, a teraz pragnie wrócić
Do ojca, do matki, do słodkiej kołysanki.

Kto liście żółte zbierze, gdy strąci je jesień?
Kto niebo mi rozgwieździ, gdy chmury zapłaczą?
Śpiewałem wam jak rapsod, wśród dumy, uniesień,
A teraz poszły pieśni moje na tułaczkę.

Boleść i ojczyzna. I sieroca dusza.
Już wszystko znam, zaszedłem na ostatni kraniec.
Oddaję się w twe ręce, Boże! Wokół głusza —
Jakże-ż mi tańczyć dziś szaleńczy, dziki taniec?

Już niema szminkowanych słów w tobołku małym —
Nie będę pieśni mych malował ani stroił.
Daremny był trud fletów, daremnie jęczały —
Więc złamałem flety, strzaskałem na dwoje.

Zaśmieją się szydercy i podejdą do mnie —
Patrzcie: „Samson to był, a teraz marny nędzarz!“
Nie wiedzą, że szyderstwo ich, jak pies bezdomny,
Rzuca się żarłocznie na krwawy kawał mięsa.

Ja-m nigdy nie niósł na wasz jarmark swoich pieśni,
Nie obgryzałem kości — resztek poobiednich.
Wiedziałem: jest niedola zapłakanych wrześni,
Jest chleb, jest jagnię i jest szary dzień powszedni.

„Idź — czekają ciebie jesień i ulewa,
Idź drogą swą cierpienia, idź, aż oszalejesz!"
Powiedzcie, czyżby-m darmo wam swe pieśni śpiewał?
Gdzie są moje pieśni i co się z niemi dzieje?

Nadchodzi już październik. I syn nie powróci
Do ojca, do matki, do słodkiej kołysanki.
Doprawdy ja-m poeta, więc muszę wam nucić
Piosenki smutne, jak jesienne, mgliste ranki.

J. LAMDAN

MOST

I.

Ręce moje, które ubiegłego roku
Sadziły szczepki topolowe,
Teraz miłośnie pieszczą wierzchołki drzew.
Wyrosły szczepki, wyrosły,
A ja zmalałem...
Tułaczem — gościem byłem, gdym tu przyszedł,
A teraz jestem nędzarzem tylko
W państwie korzeni:
Złoto grud ziemnych z stóp mych opadło
I z dłoni mojej starty jest ich ślad,
Więc stoję znowu jak kiedyś na drodze,
Jałmużny proszę:
„Litości!
Dni moje puste są i popalone,
Brak im korzeni, gałęzi im brak,
A noce jak czarne straszydła czuwają
Nad niezmierzoną, pustynną przestrzenią..."
A przecie tu wyrastały me szczepki,
Pięły się w górę wierzchołki wysokie,
Wrastały w ziemię korzenie,
Bo czarna matka troszczyła się o nie,
Dawała im słodkie swe soki.

II

Ziemio!
W twoich żyłach wino wre,
Lecz go nie piłem...
Czemuż mnie swojem winem nie upiłaś,
Bym klęknął i już nie mógł powstać z klęczek?

Czemuś mi piersi swojej nie podała,
Kiedym, jak szczeniak, do skiby twojej
Przypadał
I jęczał z głodu i skomlił z pragnienia?

Przecie modliłem się do każdej grudy:
Ziemio wyprostuj mnie!
Ulej mnie na nowo!
Nie wysłuchały grudy prośby mojej
I szły ode mnie
Razem z oraczem, schylonym nad pługiem.

III.

Ciągną się pola spokojne w promieniach słońca,
Rzęsy swych traw przymykają, bo mocne jest światło,
A wzgórza piersi jasne wypuklają
I skały szczerzą białe swoje zęby
Do słońca.
Młodzi oracze wznoszą głowy w niebo i prorokują:
„Koniec już deszczom. Niema obłoków.

Jutro, pojutrze też będzie słońce,
Też będzie słońce!"

A ja —
I jutro pójdę z karawaną chmur
I wichry targać będą rozdartym żaglem,
Co zwisa z masztu pustych dni
I znów daremnie pytać będę „dokąd?"
I znów mi jesień, w mojej krwi płacząca
Powie: „Nie tu!"

IV.

I gdzie jest mus ten, który nakazuje
Tutaj pozostać?
Gdzie mocna wola, co duszę przekuje,
By była prosta?

Wpijcie się we mnie góry, wpijcie skały,
Aż krew ma tryśnie,
Niechaj podlewa szczepki moje małe
I rolę żyźni.

Bo cóż — że począć krwi mojej posępnej —
Jesień z niej krzyczy —
Pełna jest bólu i tęsknoty mętnej,
Pełna goryczy.

Więc wpijcie we mnie — skały — zęby wasze,
Krew moją pijcie —
Poco mi ona w życiu tułaczem.
Poco mi życie?

— — — — — — — —

Dziś jeszcze wrócę na jarmark,
Gdzie wrzeszczą fałszywi prorocy,
Gdzie bawią tłum linoskoczki,
Wraz z żebrakami ulicy stanę przy wielkiem śmietnisku,
Będziemy walczyli o każdą szmatkę, kruszynę każdą,
By potem
Znów lekkomyślnie dni swoje trwonić,
Spalone, zeschłe, niespokojne dni.

A tu — jak pisarze zgięci nad pergaminem
Bracia moi po polach chodzą
I ryją święte, miłosierne pismo
Paznokciem pługów.

V.

Ale widziałem: mroczne są także oblicza braci moich — oraczy
I smutek wieczoru zabija w nich zorzę jasnego poranku,
Na wątłych łodygach zachodu zawisły ich harfy milczące...
Trawią ich myśli ciężkie, spalone ich trawi „wczoraj“ —
Więc milczą bracia, jak harfy.

Biada! Bo może nie jestem samotny z swą dolą w ich gronie,
Może, jak ja, jest każdy z nich tutaj gościem — tułaczem,
Może i ich modlitwy nie wysłuchała ziemia,
Nie zaszeptała im w uszy miłośnie: Synowie moi...“

Biada! Bo może czatuje na nich otchłań zdradliwa —
Bracia, daję wam siebie,
Za most chcę wam służyć — przechodźcie!
Po ciele mojem, co wisi jak most nad przepaścią
Przejdźcie do macierzyństwa korzeni —
Bo chce wyciągnąć ku wam ramiona swe macierzyństwo
I dać wam trud i spoczynek.

W ŚWIĘTOŚCI TWOJEGO DZIEWICTWA

W Edenie twojej najskrytszej tajni,
W rajskim ogrodzie twojego piękna,
Jak książę kwiatów dumnie zamieszkam,
Jak książę lenistwa dumnie zamieszkam,
Jak książę płodności dumnie zamieszkam,
Błogosławieństwo nam padnie do nóg.

A pocałunki moje słoneczne,
Co wrą tak we mnie jak morza fale,
Tobie dam w dani na wieki wieków,
W twem łonie złożę, na wieki wieków,
By cię zapłodnić, na wieki wieków,
Mym pocałunkiem jasnym jak pieśń.

Męskości mojej błogosławieństwo —
Targa niem wielki, ogromny smutek, —
Nie jest mi danem ot na igraszkę,
Nie na tęsknoty, nie na igraszkę,
Nie na zabawkę, ani igraszkę,
Nie na trwonienie, ani na wdzięk.

Krwi tajemnica, przymierze z bogiem
I upojenie jasnym błękitem —
Nie było jeszcze takiej jak ona,
Nie znano jeszcze takiej jak ona
Nie całowano takiej jak ona
Tu, w tem więzieniu, na ziemi tej.

A pożądanie moje płomienne,
Które, jak iskra, świeci w krwi mojej,
Tam, w twym Edenie, ja je rozpalę,
Tam, w twym ogrodzie, ja je rozpalę,
Na wielki płomień ja je rozpalę
Świętą płodnością dziewiczej krwi.

Ludzi wyzwolonych moc rozkoszną
Cudowny owoc nadziei nąszej
Zasieję w cudzie twego dziewictwa,
W łonie czystego twego dziewictwa,
W świętym przybytku twego dziewictwa —
Tę moc rozkoszną, ten boski siew.

A twór, co z siewu tego powstanie,
Z błogosławieństwa miłości naszej
Zaśpiewa kiedyś: Jesteście szczęśni,
Chwalę was chwalę: Jesteście szczęśni,
Ja jestem szczęsny i wyście szczęśni
I szczęsna wasza rozkosz i krew.

MORDECHAJ KAC

JESIENIĄ.

Gdy na góry i doliny
Spada jesienna ulewa,
Gdy moknie świat,
Kiedy kładzie się mgła na lasy i ogrody
I drżą z zimna drzewa —

Ty, duszo moja,
Nie będziesz dżdżysta, jak lasy i góry,
Zadławisz mgły i pognębisz chmury,
Będziesz wiosenna w królestwie jesieni —
I będziesz, zawsze jasne mając oko,
Z ziemi do nieba i z nieba do ziemi
Jak księżyc płynąć wśród ciemnych obłoków.

M. Z. WALFOWSKI

WŚRÓD PIASKÓW.

Czego-ż szukacie, młodzi, wśród piasku?
Gdzie są sny wasze, narodzone w blasku?

Nocą rozpalim ogromne ognisko,
Będziemy tańczyć — zapomnimy wszystko.

W tańca szaleństwie i ognia płomieniach
Spalimy sny i spalimy marzenia.

My zostaniemy, z nami zgliszcza będą —
Ziemia jest szara, niebiosa — legendą.

Będziemy potem błądzić wśród przestrzeni —
Dziewczęta smutne i chłopcy stęsknieni.

J. *LAMDAN*

STOSY OGNISTE MASSADY.

Stosy ogniste rosną jak drzewa na wszystkich drogach żydowskich,
Stosy ogniste na wszystkich drogach, wiodących ku murom
Massady.

Z stosów ognistych wznosił się okrzyk: „Słuchaj, nasz Bóg jest
jedyny!"
Okrzyk zawisał na uchu świata, tkwił w niem, jak kolczyk
hańbiący.

Na stosach ognia palone były najświętsze pisma i księgi
I w świetle stosów zbieramy teraz święte, kwitnące litery.

Stosy ogniste nam płomieniały w snach o dalekiej Massadzie,
Stosy ogniste rozpłomieniamy, gdy wyzwolenie jest bliskie.

Stosy ogniste murów Massady — dumne, ogromne znicze —
Palą się one za dusze tych, co kiedyś ginęli na stosach.

W stosy ogniste skakali nasi ojcowie z miłością śmierci
I dookoła stosów ognistych tańczymy taniec młodości.

A. SZLIOŃSKI

Z N Ó J

Ubierz mnie, kochana matko, w najpiękniejszą moją szatę
I o świcie mnie poprowadź w znój!
Kraj się w zawój tuli święty,
Jak rzemienie modlitewne idą szosy w dal.

Modły ranne zmówi wtedy miasto piękne do swych stwórców
A wśród stwórców — ja, twój syn Abraham
Co poetą jest i robotnikiem w Izraelu!

A gdy ojciec wróci ze swej pracy przedwieczorem
Będzie szeptał czułe słowa:
Syna mam ja, Abrahama —
Mocne ścięgna jego są i kości —
Alleluja!

Ubierz mnie, kochana matko, w najpiękniejszą moją szatę
I o świcie mnie poprowadź
W znój!

M. Z. WALFOWSKI

PIEŚŃ IMMIGRANTA.

I

Tu jestem wreszcie u kresu swej drogi,
Bowiem mi nakazało słowo boże:
„Zawrzyj przymierze wieczne z krajem twoim,
Tutaj pozostań i tutaj się wkorzeń!“

Więc do twej ziemi, ojczyzno, przypadam,
Niosę ci siebie i młodość swą w dani
I los swój w drogie twoje ręce składam,
Bo tutaj żyć chcę, bo tu dom mój stanie.

II

O księgach starych i naukach nowych
Zapomnieć pragnę —
I precz odrzucę cierpienie wiekowe.
Spoczynku łaknę.

Nie wśród cyprysów, ani pomarańczy —
Ot tu na piasku
Chcę żyć — niech spokój mnie pieści i niańczy —
Trzeba mi łaski.

Nie chcę słów wzniosłych i nie chcę proroctw
Poić się haszyszem —
Niech proste słowa będą mi podporą,
Niech dają ciszę.

Tu czeka na mnie szczęście i trud znojny
U kresu drogi, —
Nie chcę wśród wielkich żyć, ani dostojnych,
Lecz wśród ubogich.

A gdy tu będę bił dżaganem w skały
I tłukł kamienie —
Wsłucham się, wczuję, może wrosnę cały
W skiby tej ziemi.

MORDECHAJ TEMKIN

KAMIENIARZE.

Na ciele ziemi
Zieleniejącej
Szarzeją skały, jak wrzody.
Na szczyty wzgórz
Spadają o świcie
Orły ogromne o dziobach żelaznych:
To kamieniarze.
Na każdej skale orzeł — kamieniarz.
Czego szukacie tam robotnicy
W łonie skał twardych?
I czemu czasem badawczym wzrokiem
Patrzycie w pustkę dokoła?
Budzi się w sercach waszych nadzieja:
Zmartwychwstał kraj?
Skarb złoty w wnętrzu ziemi ukryty
Od wtedy jeszcze —
A wy go chcecie wykopać?
Czego szukacie tam robotnicy
W łonie skał twardych?

J. LAMDAN

Z poematu: „M a s s a d a"

ŁAŃCUCH TANECZNY.

Jeszcze nie urwał się łańcuch,
Jeszcze ciągnie się łańcuch
Od ojców do synów i córek,
Od stosów ognistych do stosów
Jeszcze ciągnie się łańcuch.

Jeszcze nie urwał się łańcuch
Jeszcze ciągnie się łańcuch
Od nocy radości Tory
Do nocy święta Massady
Jeszcze ciągnie się łańcuch.

Tańczyli nasi ojcowie:
Ręka na brata ramieniu,
A w drugiej ręce zwój Tory —
Przeszłość miłośnie pieszczona —
Tak-to tańczyli ojcowie.

I my tak tańczyć będziemy:
Dłoń jedna w koło wpleciona,
A w drugiej ból pokolenia —
To wielka księga niedoli —
I my tak tańczyć będziemy...

Gdy nasi ojcowie tańczyli
To przymykali swe oczy
I radość biła z nich wtedy,
Nogi ich lekko pląsały,
A oczy ich były zamknięte —
Tak nasi ojcowie tańczyli...

Wiedzieli bowiem ojcowie,
Że tańczą nad brzegiem przepaści,
Że kiedy oczy otworzą
Zamkną się źródła radości,
Że łańcuch zginie w otchłani
Wiedzieli nasi ojcowie...

I my tak tańczyć będziemy
I oczy nasze przymkniemy —
Niech łańcuch ciągnie się, ciągnie,
A oczy niech będą przymknięte,
Aby nie zerwał się łańcuch —
I my tak tańczyć będziemy...

Chcemy przedłużyć łańcuch —
Nie urwał się jeszcze łańcuch.
Dokąd-że on nas wiedzie?
Nie pytać nam, ani badać
I tylko dalej i dalej
Zawsze przedłużać łańcuch

A. SZLIOŃSKI

Z cyklu: „NASZ NAMIOT"

Gdy trzody wieczorem wracają do domu
Beczy cielątko każde, beczy jagnię.
Ktoś pragnie dzień mój zgładzić pokryjomu —
Wnet jego czaszka, mieczem ścięta, padnie.

A Twoje wargi — to krew Jochanana
I oczy Twoje — najdroższy aksamit.
Jest imię jedno niewypowiedziane,
Znam imię Twoje, powiem je: Sulamit.

Ostry miecz utkwił w dnia tętniącem sercu
I tkwić w niem będzie do białego rana,
Na tacy zmierzchu podaje tancerce
Noc, jak negr czarna, głowę Jochanana.

Zeszedł już wieczór do mojego domu,
Legło na niebie cielątko i jagnię —
I dzień jutrzejszy zgładzą pokryjomu
I jego czaszka, mieczem ścięta, padnie.

UMILKŁO NAWET ECHO...

Umilkło nawet echo... I nie zostało nic
Z złotego snu, co kiedyś całował mnie w usta —
A teraz — w sercu mróz, a teraz — bladość lic
I pustka.

Więc jakże-ż można żyć? I skąd tu siły brać
Gdy codzień ból i gniew przychodzą groźnie do mnie —
Gdy nie ukoi nikt... Jak można żyć, jak trwać
Bez wspomnień?

DAWID FOGEL

* *
*

Boże, dziewczęta idą pod wieczór na spacer
z psami swojemi, —
bowiem nie spłynął na nie Twój blask —
a nocą leżą w swych łożach dziewiczych
bezsennie —
cóżeś — uczynił — Panie?

Wszak i one mają serca,
a serca ich niewinne
za chwilką szczęścia tęsknią życie całe —
Boże,
przecie wszystko, co żyje, łaską obdzielasz,
czemużeś o nich zapomniał?

Wszystko, coś stworzył, pali się i płonie
małym, przejasnym płomykiem —
a one dymią się tylko jak głownia wilgotna.
Ach, dobrze wiedzą: przyjaciółki ich piękniejsze są od nich,
mężczyźni nie znają litości,
a dni są policzone
i serca ich chore —
zatem płacze i płacze im serce nocami,
bez ukojenia

Boże! ześlij im jeden choćby promyk,
jeden mały promyk
ze skarbca Twojego nieskończonego blasku —
niech i one zapromienieją,
niech im oczy rozbłysną,
a serca się rozradują.

Zapukaj kiedy w ich dom —
oto siedzą samotne — czekają,
przynieś im coś w darze,
niechże i na nie spłynie kiedy
radość
dnia świątecznego!

Szymon Wolf

Z cyklu: „D ż d ż y s t o“.

I.

Jedna jest pieśń dla dusz posmutniałych
jesienią mglistą —
ludziom jest ciężko, pola są szare,
jedna jest jesień na świecie całym:
dżdżysta.

Miłuję dzień spłakany, obłoczny,
smutny do końca —
człowiek jest smutny i dzień jest mroczny —
i cóż? nie szukam w niebie obłocznem
słońca.

Lecz kiedy słońce sypie swe złoto
w ponury wrzesień —
rodzi się pieśń i budzi tęsknota,
lecz rwie się pieśń i pada pokotem —
zostaje jesień.

Po snach spalonych popiół się ostał,
popiół i męka —
cicho umiera nuta miłosna,
zostaje jedno: szara i prosta
piosenka.

II

Boże — znowu jesień!
a w Europie śnieżnej — już listopad.
Spada jeszcze jedna trumna w grób. Stuk łopat.

Już dwudziesta trzecia jesień.
Dwadzieścia i trzy trumien ciasnych,
kryjących zmurszałe relikwie dni jasnych.

Oto idą dni deszczowe,
dni deszczowe palestyńskiej zimy wschodniej —
coraz ciszej — coraz smutniej — coraz chłodniej — — —

A. SZLIONSKI

Z księgi: „Pustkowie"

WŁÓCZĘGA.

Słuchajcie: ja zbrodniarz, gbur, niegodziwiec
biczuję, kłuję swe ciało skorpionem.
A może?!
Może wyprostują się plecy pogarbione.

Lecz za mną dzień wczorajszy chory
wlecze się jak stary pies i szczeka:
„pamiętasz? wczoraj — przedwczoraj — — —"
narzeka.

Przeszedłeś: smukły, rosły, pogwizdujący,
a ja: ot jak zawsze w nędzy...
Ech, możesz plunąć w twarz
włóczędze.

J. LAMDAN

Z poematu: „M a s s a d a"

OFIARA MŁODOŚCI

Kto jesteś ty, co wchodzisz tu z śpiewem,
A głowa twoja kroplami rosy sperlona?
Nie rosa to — łzy,
Spadały one z oczu rodziców,
Gdy ich jedynak odchodził.
Szlochała matka i płakał ojciec:
„Dokąd-że idziesz? — wszak taki-ś młody
Jest jeszcze!...
Uparty byłem:
„I cóż?
Jest pożądana młodości ofiara!"
Poszedłem.
A teraz z śpiewem w mury te wchodzę.
Jeśli nawet perlą się łzy na mojej głowie —
Szczęśliwy jestem.
Żal mi, że gdzieś tam płaczą boleśnie
Ojciec i matka —
Kocham ich, kocham —
Ale cudowna legenda Massady
Tu mnie zawiodła —
Ach, gdyby ojciec i matka znali legendę Massady,
Płakać przestaliby,
Płakać za synem, że do niej poszedł...

M. Z. WALFOWSKI

NOWA SZOSA

Nową tu szosę wybudowali
W znoju i śpiewie —
Ciągnie się szosa, ciągnie z oddali,
A bezimienni ją budowali:
Ruben i Szymon i Lewi.

Tu dynamitem rozsadzali skały,
Tutaj ich młoty biły, jęczały,
Przyszłość kowały:
„Szutrem uścielim, z skały wykujem,
Drogę zbudujem.“

Kiedyś przechodnie będą chodzić po niej,
Drogą na codzień —
Szeroka, w słońcu palestyńskiem tonie,
Widzisz ją całą, jakgdyby na dłoni —
I nic nie zrozumie przechodzień.

Lecz szczęśliw, kto tam w stepowej przestrzeni
Z nimi pracował wśród twardych kamieni
Nad twardem i ciężkiem zadaniem —
Szczęśliw, kto z nimi razem chleb swój jadał,
Z nimi podnosił się i z nimi padał.
I tęsknił za wielkiem kochaniem.

Nadejdą bracia, nadejdą za sto lat
I pójdą może tą drogą wśród pola — — —
I jak ją zbudowano — gwiazdy będą
Im opowiadać cudowną legendę.

A. SZLIONSKI

IDŹ SOBIE...

Pamiętam jeszcze modlitewnik stary,
Z którego modlił się do swego Boga
Dziadek mój błogosławionej pamięci.

Pewnego roku umarł dziadek drogi,
Piękny, żydowski pogrzeb mu sprawiono — — —

Dziadziu kochany!
Na wargach świata — modlitwa za zmarłych —
Nikt jej nie zmawia.

A wnuk twój?

Ach, dusza moja jest jak zwitek święty,
Pergaminowy, w którym wymazane słowo: Wszechmogący—
Nie przyjdzie dziadek, by ją ucałować,.
Nie przyjdzie.

Więc poszedłem —
Bez modlitewnych rzemieni,
Bez ojca w niebie
I Bez modlitwy rodziców na drogę.

Ktoś tam na cmentarzysku niebios
Wyrył: „Tu leży..."

Wstąpiłem
Na okręt, płynący do Palestyny,
Wstąpiłem, błagałem o litość:
— Przebacz mi Panie!

Kupiłem bilet.
Związałem tobołki.
I sam — tobołek żydowski — usiadłem,
By słuchać świętej pieśni chaluców:
„Żyje naród Izraela —
„Żyje naród Izraela —
Żyje naród, żyje naród — — !
Lecz ktoś tam wyjrzał z tobołka mojego —
Garbusek to, znak zapytania:
A pan Izrael ? — — — “

I usiadł, niebożę, u boku mojego
I znaną piosenkę zaśpiewał:
„Stoi drzewo na gościńcu,
Kruk żałobnie kracze.
Idzie Żyd do Palestyny,
Całą drogę płacze — — — “

*

Za morzem jest kraj, nazywa się Włochy —
Naród — muzyka, niebo — akwarela,
Żebracy, kiedy tam proszą jałmużny
Śpiewają arję z „Pajaców“.

I jest za morzem gdzieś Wielka Brytanja,
Jest Francja, w której życie wre gorące,
Są Niemcy, Holandja, Szwajcarja — — —
I jest za morzem, jest za oceanem
Ameryka!

A ja, rabi Lewi Icchak z Berdyczowa, mówię:
Niech będzie pochwalone imię jego
wielkie — —“

I tylko gdzieś tam płacze matka droga:
„ ... Oj, a briwełe der Mamen — — "

Mamo, mamo!
Masz syna, imieniem Abraham,
A on jest taki biedny,
Jakgdyby matki nie miał,
Matki drogiej na świecie.

Wysyłam list:

„Do swego ojca, nauczyciela
I matki swojej, rodzicielki —
Oby długo żyli —
Wysyła list ten syn wasz,
Ukrywając się przed Bogiem i przed ludźmi.
Po pierwsze donoszę wam, najdrożsi moi,
Że jestem, Bogu dzięki, zdrów.
Nie sądźcie, broń Boże, że mi smutno,
Że nocą tułam się jak za dnia.
Widzi Pan,
Że wszystko, co piszę — to prawda.

A teraz rzecz najważniejsza:
Pozdrówcie brata mojego starszego i obie siostry moje
I przyjaciela mojego — kocha go bardzo moje serce
I nie zapomnijcie — zaklinam was —
Modlić się za mnie,
Za waszym bratem nieszczęsnym, który się tuła po świecie
W poniewierce — "

Taki jest list.

M. Z. WALFOWSKI

WIECZOREM

I

Już koniec wspólnej wieczerzy, rozchodzi się braci gromada;
Zmęczeni są robotnicy dniem pracy, ciężkim i znojnym —
Każdy z westchnieniem cichem do swego namiotu przypada,
Do swego łóżka, swych marzeń i tęsknot swych nieukojonych.

W baraku jadalnym jest pusto, nikt nie pracuje już w kuchni,
Tylko się lampka tam pali — zapalił ją nocny strażnik —
Wtem kilku chłopców powraca, choć chcieli nie mogli usnąć,
Bo ciąży im rzeczywistość i trawi sen wyobraźnię.

Namiot jest wichrem targany, podarty jest i znikomy,
Ciemności nie może zgnębić światełko małe i biedne,
Wargi całują tam nicość, ramiona pieszczą fantomy
Męczą się mózgi: nie mogą poznać, dotrzeć do sedna.

Daleko dom ich rodzinny, zeszli się z krajów dalekich,
Chłopcy, co dziećmi są jeszcze, chłopcy weseli i młodzi —
Przyszli do kraju nowego, by ogień wzniecić w nim wielki —
Po szczęście poszli, znaleźli niedolę samotnych godzin.

Ręce ich pracy nie znały, więc ciężko było pracować,
Troski mnożyły się, troski im głowy do ziemi chyliły,
Nocą mroziła im serca pustka lodową okową, —
Samotni byli młodzieńcy, bo nie zabłysła im miłość.

II.

Rozłożył się wpoprzek stołu, na wznak, wzrok utkwił w suficie
Najmłodszy z całej gromady, Abraszka miły i butny, —
Drga jeszcze w nim wspomnieniem szkolne, uczniowskie życie
Sam jeszcze nie wie dokąd zawiedzie go własne jutro.

Taki młodziutki był wtedy, gdy miasto swoje opuszczał —
Słodko i tęsknie żegnały na dworcu go koleżanki, —
Znikły gdzieś potem sny jasne, upał był, upał i głusza
I kładło się nagie życie mgłą na wieczory i ranki.

A dziewcząt, dziewcząt nie było. Jak dola ciężka i zmięta
Wlokło się ich kilkoro — cicho po kątach płakały.
Był czas i one kwitły. Lecz teraz ich nikt nie pamięta,
A więc pobrzydły ich twarze, zmarszczyły się, postarzały.

O, jakże-ż żal mu jest czasem siostry smutnego oblicza,
Lecz on za kochanką tęskni, wesołą, lekką i hożą,
Która ma oczy jasne, nie zna ciężkiego życia —
Za dziewczętami tęskni, jakie są tam, za morzem.

Bracia usiedli kołem, usiedli w jadalnym baraku —
Zerwał się wtedy Abraszka i zaczął śpiewać znienacka.
Pieśń popłynęła bolesna, pieśń buntownicza i taka
Smętna, jak ziemia rosyjska — pieśń zawadjacka, kozacka.

III.

Przeszedł już pierwszy smutek — tylko tęsknota dzwoni,
Zmienia się nastrój pieśni, nie jest bolesna, nie płacze —
Nie taka straszna przepaść, światło nadziei płonie,
Czeka się jeszcze na cud, na szczęście w życiu tułaczem.
Zrywa się potok wspomnień, wije się drogą zawiłą,
Niesie młodości pamięć przez jary i przez wertepy —
Tam, gdzie rodzinna wioska, tam źródło rozkoszne biło,
On był spragniony i nie pił i poszedł samotny w stepy:

„Tam, gdzie rodzinna wioska daleka
Z miłością swoją dziewczyna czeka,
Czeka w rozterce...

Może we wiosny jasny poranek
Nadejdzie jej utęskniony kochanek,
Da jej swe serce...

Pola są świeże, jej domek mały,
Złote wspomnienia mnie obleciały...
Ciężka jest dola...

Czemu kozacka dziewczyna płacze?
Kiedyś ją spotkam, kiedyś zobaczę...
Lecz wrogie, wrogie mi obce pola...

— — — — — — — —

Śpiewa Abraszka, śpiewając błądzi swą myślą w wspomnieniach,—
Pieśń niesie w inne strony, lecz kocha ją dusza młoda, —
A potem nagle raz jeszcze tempo piosenki zmienia —
Żywiej! — jakgdyby pragnął sobie otuchy dodać.

Koniec. Rozchodzą się chłopcy, każdy w samotne swe łoże —
Ciężko jest: chcieliby szczęścia, miłości, chcieliby kochać —
W obozie błądzi Abraszka, bo usnąć jeszcze nie może —
Słychać jak w jednym z namiotów dziewczyna samotna szlocha.

DZIEŃ POWSZEDNI.

I.

Ojcze!
złóż wreszcie z ramion zawój modlitewny,
gotuj się do drogi dalekiej z synem swoim.
Oto rozwarła się przed nami brama —
nadejdzie dzień jutrzejszy, zażąda rachunków
cóż wtedy powiem?
Zachodzi słońce i beczy cielątko,
a wół uwiązany jest u żłobu.
Ojcze!
złóż wreszcie z ramion zawój modlitewny
i syna swojego drogą daleką
ku górze Morijah
poprowadź!

II.

Izak dźwiga drzewo na całopalenie swoje,
a Jezus — krzyż.
Brat mój ma małą wesołą córeczkę,
a mój przyjaciel — orze rolę w pocie czoła —
poprostu: orze rolę; —
i tylko ja wlokę się po ulicach miasta
i burze wzniecam w szklance mojej duszy.
Lecz wiem: serce moje — to pies, co ujada
przy oberży samotności:
— Głupcze! jakżeż długo jeszcze ostrzyć będziesz
język swój na przechodniach?
Lepiej ci lizać pierwszą lepszą dłoń — i milczeć.
Ale szarpie się pies niespokojnie, potrząsa łańcuchem
Boże! zwiększ ciężar jarzma, bo chcę być zbawionym.

A. *SZLIONSKI*

WSZYSTKO JEDNO.

(piosenka)

Rośnie kawa, rośnie ryż
Na dalekim wschodzie —
U nas, bracie, biedę liż
W malarji i głodzie.

Wszystko jedno! Pal to sześć!
Z kolonji do miasta —
Niema bracie, czego jeść —?
No to milcz i basta!

Kiedy cię rozboli brzuch
Napij się rycyny —
Ale gdy chorzeje duch
Niema medycyny.
Wszystko jedno...

Cały-m dzień kilofem bił,
Ciężka była praca,
Więc wieczorem niema sił,
Aby pójść na spacer.
Wszystko jedno...

Coś przebąkiwują, że
Pójdziem do Hauranu —
Jego tropikalna źre,
A mnie tertiana.
Wszystko jedno...

Ogień pali się, aż strach,
W kuchni, no i w piersi —
Chłopca-m ja widziała, ach,
Jego wzrok mnie wierci.

Wszystko jedno...

A w kurniku kogut stał,
Spoglądał na kurę —
Piękne włosy chłopiec miał
I śliczną fryzurę.

Wszystko jedno...

Do koryta trzody swe
Wiedzie pasterz bosy,
A mój chłopiec mówi, że
Winnam uciąć włosy.

Wszystko jedno...

Zetnę włosy, czemu nie?
Pudru nie używam,
Tylko przyjdź, pocałuj mnie,
A będę szczęśliwa.

Wszystko jedno...

Dziesięć palców w dłoniach mam
I paznokcie z rogu —
Niema to jak sam na sam
Z dziewczyną na stogu...

Wszystko jedno...

On ma narodowy gest,
A ja pasę owce —
On prawicy członkiem jest,
A ja lewicowcem.

Wszystko jedno...

„Płonie serce me jak las —"
Daj-że spokój stary,
Przestań-że nareszcie raz
Zawracać gitarę.

Wszystko jedno...

Na osiołku usiadł ktoś
I jedzie okrakiem —
Wiecie, chłopcy, dam wam coś,
Dam wam figę z makiem.

Wszystko jedno! Pal was sześć!
Z kolonji do miasta!
Niema, bracie, czego jeść?
No to milcz i basta!

EMANUEL HARUSSI

KOŁYSANKA

Już listopad straż swą trzyma
Nad śnieżnym Hermonem, —
Już powoli idzie zima
Z okiem załzawionem.
Refr.: *Jeruzalem, miasto boże,*
Miasto naszej tęsknoty,
Więcej nam na tydzień dać nie może
Jak dwa dni roboty.

A w baraku płacze dziecię,
Bo mu zęby rosną,
Mały chłopczyk sam na świecie, —
Ojciec umarł wiosną.

Refr.

„Padł w kamieniołomie tato,
Padł na polu pracy,
Będziesz kiedyś jak on za to
Żywot wiódł tułaczy.

Refr.

Będziesz jak on robociarzem,
Dola twoja taka, —
Trzeba synku kamieniarza,
Milczeć a nie płakać.

Refr.

A. SZLIOŃSKI

WIERSZ

Dla moich wierszy mam tylko pogardę
i dla frazesów moich wstyd jedynie —
zato jest dobrze zarymować twardo:
świnie.

Lecz język hebrejski jest tak świąteczny...
(chociaż go żarł mól wiekowy) —
nawet słowo cuchnące, jak n. p.: nawóz —
pachnie jak placek miodowy.

Ach, jakby to było naprawdę wspaniałe,
gdybym mógł w patetyczny mój śpiew
rzucić po hebrejsku w gniewie i zapale:
„psiakrew!“

ELISZEWA.

POKÓJ.

Nadeszło szczęście w końcu,
przystanęło u progu:
pomiędzy mną, a słońcem
niema już nikogo!
Otwarłam okna wszystkie
szeroko w cały świat —
niech przyjdzie, niech uściska
mnie najdroższy świat.
Jak się masz miły lesie,
tak tobą dziś się cieszę,
cichutką kołysanką,
śpiewają mi co ranka.
Nie gniewaj się i przebacz,
żem przyszła późno trochę:
wszak wiesz, że tylko ciebie
naprawdę bardzo kocham.

ELISZEWA.

DUSZA MOJA SIĘ ZGUBIŁA...

Dusza moja się zgubiła.
Dokąd poszła, gdzie się błąka?
Gdzie cię szukać moja miła —
Czy po lasach, czy na łąkach?

Możeś skryła się wśród krzewów
Tam, przy góry stromym stoku?
Może szepcesz, może śpiewasz
W pośród wartkich fal potoku?

Poszłam dzisiaj w las głęboki
Szukać duszy — posmutniała?
Lecz zmyliłam drogę, kroki,
Pieśni śpiewać zapomniałam.

Ból przytłacza i pieśń rwie się
I nie świeci wcale słońce...
Gdzieżeś schował ciemny lesie
Duszę młodą i tęskniącą?

ELISZEWA.

PUSTE JEST NIEBO...

Puste jest niebo, zamilkła ziemia,
noc spływa na nas.
Nadchodzi księżyc, jest blady, niemy
i jest kochany.
Samotnie stanął na nieboskłonie
cichy, radosny —
srebrzystem światłem są przyprószone
świerki i sosny.
Grządki ogrodów, lasy i pola
do mgieł się tulą —
uciekła z serca mego niedola
i niema bólu.
Samotna jestem, jak ty na niebie
mój królewiczu —
pozdrawiam ciebie, poznaję ciebie,
twoje oblicze.
Taka jest cudna dziś noc miesięczna
i tak kojąca,
że z całej duszy jestem ci wdzięczna
mój ty miesiącu.
Płyniesz jak senne, srebrne marzenie,
pieścisz i koisz —
Jeśli jest szczęśliw kto nieskończenie —
to my oboje:
ty w twojem niebie cicho tęskniący,
blady i niemy —
i ja ze szczęściem swojem chodząca
sama po ziemi.

ZAPOMNIANA PIEŚŃ

„Tak rzekło moje serce, a potem westchnęło...“
Skąd nadleciały ku mnie słowa te złowieszcze?
Cały dzień mi głos jakiś dzisiaj cicho szepce
O tem, co kiedyś było, o tem co minęło.

Za czem to serce wzdycha, dokąd myśli biegną?
Do rozkoszy, co kwitnie płomiennym haszyszem,
Do złotego kochania w radości i ciszy,
Do nieba, co jest ciemne, nieme i bezgwiezdne?

Wsłuchuję się w szept cichy... W zimowy dzień biały
Wznoszą się smugi dymu w niebiosa oparem,
Cisza na całym świecie, cisza spływa ku mnie
I tylko serce szepce, lecz ja nie rozumiem.

Słupy dymu zginęły w niebiosach zakrzepłych,
Nadleciały wspomnienia i znowu uciekły
Przebrzmiał echem przerwanej pieśni czarny zewłok:
„Tak rzekło moje serce, a potem westchnęło“.

A. SZLIOŃSKI

OSTATNI TESTAMENT

* * *

Na początku było cierpienie, a cierpienie było z Wiekuistym. I stworzył Wiekuisty człowieka, na podobieństwo Swoje bolesnym go stworzył. I stało się, gdy począł się człowiek rozmnażać po powierzchni ziemi, a czarne piętno Kainowe zaczęła mu znikać z czoła. I widzieli wonczas ludzie, że dobrą jest radość — i widzieli, że gorzkie i złe jest cierpienie i lżyli imieniu Bożemu. I zesłał Bóg potop na ziemię. A Noe zbudował arkę białą, by ocalić swoje życie, tak bowiem polecił mu Bóg uczynić.

A kiedy opadły wody — pożałował Wiekuisty, iże arkę białą zbudować kazał. I zasmucił się w sercu Swojem i rzekł: pocóż uciekać ma człowiek przed potopem, wszak potop — to cierpienie wielkie. I zesłał Bóg wicher burzliwy i rozstrzaskał arkę białą na drobne kawałki. I wyrządził Noemu zło wielkie z powodu arki.

I było to o północy, kiedy zstąpił Wiekuisty rąbać drwa czarne w Edenie boleści. I zbudował okręt wielki i nadał mu imię: CIERPIENIE, gdyż on jest Okupieniem Wielkiem.

I rozkazał Wiekuisty Hjobowi wstąpić na okręt i rzekł: oto pomazałem cię na kapitana, a marynarzy nie masz. Małym bo jest człowiek i wybawienia małego pragnie, a nie rozumie Okupienia Wielkiego: takieć — jest życie na ziemi. Idź i krąż po morzach dalekich i tułaj się po wielu krajach szukać dusz dla okrętu czarnego.

I podejdzie ku tobie człek chorobą znękany i słabość swoją ci powie i płakać będzie: pomóż-że mi człowieku Boży. A ty mu rzeczesz: zasię tobie, bo tyś jest wielki.

I podejdzie ku tobie trędowaty i błagać będzie: usuń wrzody moje Hjobie. A ty mu rzeczesz: zasię tobie, bo tyś jest święty.

I podejdą tułacze, zgorzkniali, biednota i wołać będą: wyzwól, wyzwól. A ty im rzeczesz: zasię wam, bo wyście wyzwoleni.

I czytać będziesz w ich oczach słowa tej Wieści Czarnej, a oni złorzeczyć ci będą i lżyć. I tłum ogromny się zgromadzi, by cię kamieniami wielkiemi ukamienować. Lecz ty nie drżyj i nie opadaj na duchu, gdyż ciebie wybrałem na zbawcę człowieka i w ręce twojej Okupienie Wielkie.

CZĘŚĆ DRUGA.

*(Podwórzec opuszczony, zdziczały,
na wzniesieniu — rozpadająca się ruina;
u progu — gromada otulona w białe zawoje;
na czele — Mojżesz, Jezus, Eljasz,
obok nich — kręgiem prorocy,
jak gdyby wielkie, białe kwiaty,
co poruszają się w czas pełni miesięcznej
nad stawem cichym.)*

M O J Ż E S Z:

— i znowum na ziemi, a ziemia
jak stara, wyczerpana kobieta.
a gdzie człowiek?
w kabłąk zgięty, wymęczony chodzi
i kaleczy swe stopy o szczerby Tablic Przymierza,
które mu dałem aby żył, —
albo się w prochu tarza
i czerep tabliczny bierze w swą rękę i szarpie ciało,
aże zawoła ciało, zakrzyczy:
„człowieku! człowieku! jeszcześ naiwny —
chwal Pana — i umieraj!“
biada nam! szaleństwo to najstraszniejsze ze wszystkich,
jeśli mu zawczasu jeszcze nie zaradzim.

JEZUS:

— więc znowu i ja z tobą,
dźwigasz Boga na poranionych barkach,
a oczy twoje jęczą: „zmęczonym!"
Zmęczonyś proroctwem,
bo zbytnio ciąży tobie wielki Bóg
i klękasz nie mogąc unieść krzyża na umęczo-
nem ramieniu.

PROROCY:

— zaprawdę, kląkł — padł człowiek, małym
bo jest!

ELJASZ:

— a jeśli małym jest — nie złorzeczcie mu,
ale powstańcie, porwijcie się na Boga najwyż-
szego:
„czemuż tak smagałeś?!
czemuż tak ciężkiem uczyniłeś proroctwo!",
gdyż to jest wielki grzech, popełniony przez
Pana,
iże zawiele smagał.

JEZUS:

— zaprawdę wielu jest bolesnych i głośny jest
krzyk rozpaczy,
ale nie z boleści krzyczy człowiek,
lecz z braku krzyża.
patrzcie:
szczątki krzyży zdjęto z ramion moich i po-
rąbano,

by małe ognisko rozpalić na Ziemi;
i zapłonęło ognisko —
a dzwony powyrywano z czaszek kościelnych,
ustawiono, ni to kotły ogromne,
ugotowano w nich jadło, potem żarto je i żłopano:
życie! życie! życie! —
zatem nadeszła godzina,
bym zstąpił i ukrzyżowany był poraz wtóry.

JEZUS:

— poraz wtóry?
małoż to ci, iż już raz uginałeś się ze zmęczenia?
niechaj, Jezusie!

JEZUS:

jakżeż mi niechać,
kiedy noc w noc jasnowidzę:
oto góra Synajska
podnóże swe ociera o osty cierniowego krzaku,
bo i ona rozdrapuje wrzód trądu co ją okrył,
a może drżąco bada
zali nie wygasł ogień Boży?
i znagła
ruszy z miejsca chmura i pełza i pełza
i oto —
wciśnie się w pazury ostowe, wdrapie się, wnijdzie
i legnie na grzbiecie Golgoty....
a ja padam na twarz i słyszę głos z cierniowego krzaku:
Jezusie! Jezusie — i zagaśnie ogień.
i strach mnie mocny ogarnia,

wiem bo:
świat czeka nowego krzyża!

M O J Ż E S Z:

— nie krzyża,
a Tablic Przymierza
czeka człowiek zabłąkany na ziemi.
czeka, by nałożono nań cugle — — —
chce ciągnąć, ciągnąć wóz wielki
po drogach zarosłych kolcami i ostem,
a w wozie — — — Pan.

E L J A S Z:

— znowu Pan? znów jasnowidztwo, krzyż
Tablice Przymierza,
a człowiek
jak wielbłąd stary o garbie wytartym
leży na drodze w pustyni i woła:
„rozsiodłaj, rozsiodłaj jeźdźcze!"

dajcież zbawienie człowiekowi, a wtedy
mocen będzie
dźwigać na barkach ciężar duży,
smarujcie koła, — prorokowie Boży!
a wóz napełnijcie zbożem,
zbawieniem — zbożem!

J E Z U S (*do siebie*)

— ha, jakżeż mi niechać,
a ślady ćwieków
są jak pieczęć sygnetu Bożego na mem ciele —

oto idę ku nim—w koronie cierniowej na skroni,
a oni palcami wskazywać będą na mnie
jak wtedy:
„ukrzyżować go! ukrzyżować!“
i ogień rozniecą pod nóg mych stopami,
a potem okrakiem siędą na cielem mem
umęczonem
i nałożą krzyż.
lecz cóż to? jakież proroctwo?
prorokuj, prorokuj Mojżeszu!
oto ześlizguje się, odskakuje w tył góra synajska,
oto opadają osty cierniowego krzaku,
oto jaśnieją ciernie zdobnemi różami,
co jakby białym zawojem, otuliły ciało
krzaku nagie.
więc-ci i ja zdejmę koronę boleści
i uwieńczę nią skronie Golgoty —
będzie i ona jak *biały* zwój *Tefilin* —
bowiem nadeszło zbawienie.

E L J A S Z:

— bowiem k o n i e c z n e jest zbawienie

J E Z U S:

— rzekłeś.

(*wrzawa.*)

P R O R O C Y:

— kto tam?
— kto im pozwolił wejść?
— na klucz wrzeciądze!

— czemu otuleni wszyscy czarno?
— na czele ich człowiek siwy, a i siwizna
jego czarna
— kto oni?
— skąd-ci przybyli?
— wyprowadź ich—posługaczu!—wyprowadź!
— zasię obcemu!

M O J Ż E S Z:

— jeśli-ć dostąpili tej łaski i są tu — Pan
tego chce —
— zbliżcie się!

(podchodzą.
w dłoniach ich łuczywa czarne,
co nie świecą,
i tylko węże dymu wiją się
i poruszają, ni to kwiaty czarne
w świetle miesiąca
nad stawem drżącym.)

M O J Ż E S Z:

— to-ż Hjob.
bądź pozdrowionym w imię Boga!

(zadrżał.)

ach czemuż to tknęła cię znów
ręka Boża złym trądem?
i co to za ludzie z tobą
a te czarne odzienia, w któreście otuleni—poco?
a łuczywa?

P R O R O C Y:

— jak na cmentarz tu przyszedł — obrząd
czarny sprawować,
a z nim druhowie czarni —
zaprawdę, nie darmo tu przyszli.

H J O B:

— pocożeście się zgromadzili
tu — w podwórcu starego domu modlitwy,
co chwieje się ku upadkowi, jak nauka wasza?
zaiste, widzieliście człowieka, a on lgnie
do życia
i nie pogardza niem —
nie znalazłoż to upodobania w oczach waszych?
i tego tylko pragniecie: by czekał zbawienia,
by targał się w bólu i jęczał: chorzyśmy
i boleśni!
bolesną jest ziemia cała!
dajcież nam nową gwiazdę, dość nam już
czarnej gwiazdy — Ziemi.
Ach wy, co prorokujecie sobie o innych
gwiazdach — —

P R O R O C Y:

— jak nikczemnik mówi.
— imię proroków pańskich znieważa
— ojcze proroków! człowieku Boży! spal go
żarem swych ust!
— bluźniercą — ci jest .

M O J Ż E S Z:

— Hjobie!

widziałem okręt twój czarny, — i oto niema
w nim człeka
i tylko ty sam jeden w dymie jego się tarzasz,
owrzodzony jako przed wyleczeniem twojem —
i rzekłem: wyrzutkiem z gromady jest ci on —
tako każe słowo Boże —
jakżeś-to poważył się skierować tu swe kroki,
a i czystych zwiodłeś, by z tobą poszli? —
by zarazę roznieść?
by do cierpienia cierpienie dołączyć?
a oni — zaprawdę zadość obarczeni.
bo oto jęczy człowiek i krzyczy:
„wspomóż! wspomóż!“ —
dzień w dzień, noc w noc.

(do Jezusa):

Jezusie! — wyciągnij swą dłoń i ulecz
jego trąd,
iżby stał się czystym,
by i Hjob zjednoczył się z nami w zgro-
madzeniu wyzwolenia.

J E Z U S :

(wyciąga dłoń).

H J O B:

(z gniewem)

— precz ręce twe, Jezusie!
mnież to chcesz uleczyć?
ty, który nauczałeś iść w boleść —
a i szedłeś,

ty, który sam byłeś boleścią,
ale nie nauczałeś nią być — — —

nie poto rośnie grzyb w jesienny dzień,
by go słoneczny zabił promień;
nie poto wrzody okrywają ciało nieczyste,
by arcykapłan je leczył; —
gwiazdą błędną jest cierpienie!

planeci to trud w zastępach wieków,
by nie ustał czarny jej blask,
dopóki nie zniknie blask słońca, miesiąca,
gwiazd —
i tylko dookoła nich krążyć będzie gwiazda
czarna,
której na imię z i e m i a.
czarną gwiazdą jest ziemia i po n i e j
stąpa człowiek,
stąpa obiema stopami swoich nóg —
niema poza nią niczego!
i pocóż mu przeszkadzacie: wyzwolenie!
wyzwolenie!
by ufał i nadziei gwieździe swej błędnej
złorzeczył?
precz od człowieka,
niechaj idzie w swe cierpienie i je kocha,
niechaj idzie w swe cierpienie i niem będzie —
gdyż to jest zbawienie.

P R O R O C Y:

— fałszywy prorok!
— Jezusie — oto cię twarzą w twarz przeklął
przebaczysz-li mu?

— a i okręt swój potworny na nas nawiódł —
nie zostanie-ż on roztrzaskany?
— spalić, spalić jego okręt!
— ukrzyżować Hjoba, ukrzyżować!

J E Z U S :

— uchowaj Bóg! bo zbyt świętym stanie się
w oczach tłumu
i będą za nim iść i nosić jego krzyż
i wołać: nie! — każdemu wyzwoleniu.

M O J Ż E S Z:

— z wolą jego lub bez woli
ale tylko mocą ramienia wyciągniętego zostanie
zbawiony człowiek,
gdyż nie w imię jego to, ale....

H J O B:

(*przerywa mu*)

— w imię innej gwiazdy?
pogardzam wami, wy zbawcy — w imię czegoś!..

P R O R O C Y:

— co takiego?
— pogarda?!
śmierć mu! śmierć!

(*gdy wtem*)

GŁOS Z NIEBA:

Mojżeszu! Mojżeszu!

(zadrżeli).

PROROCY:

— głos z nieba!

MOJŻESZ:

— oto jestem!

GŁOS Z NIEBA:

— rozpłonął mój gniew na ciebie i twych
towarzyszy,
iże nie mówiliście do mnie słusznie jak
sługa mój, Hjob.

(Mojżesz, Jezus, Eljasz — zmieszani;
ręka wichru tchnęła ich zawoje — i poszarpała je).

MOJŻESZ:

ty Boże w niebiesiech —stań!
a ty Hjobie na ziemi,
dopóki nie zostanie wyzwolony człowiek!

GŁOS Z NIEBA:

— Mojżeszu! Mojżeszu!

M O J Ż E S Z:

— nie słucha się Głosu z nieba!
weź róg Eljaszu!
Hjobie — milcz
i ludzi, co są z tobą, odeślij,
jakoże m a ł y m jest człowiek
i małe wyzwolenie tylko mu przystoi.

H J O B:

— nie umilknę
i ludzi odemnie precz nie odeślę,
bo w i e l k i m jest człowiek —
i po wszystkich drogach żałobnych czarnej
planety ziemskiej
chodzą Mesjasze wielcy,
a wy nie widzicie.

E L J A S Z:

— a jednak białym zawojem owiniemy czarną
gwiazdę.

H J O B:

— wtedy i zawój wasz zczernieje.

E L J A S Z:

w wielki i biały róg zadmę.

H J O B:

— a wicher porwie jego głos.

E L J A S Z:

— okręt twój toporem rozstrzaskamy.

H J O B:

— a ja wam mówię: świat to
i nań podnieśliście siekierę.

E L J A S Z :

— słuchaj Hjobie! oto ustanowionem jest:
jutro przyjdzie Mesjasz.
i pocóż to masz być ty sam jeden jak kruk
wśród gołębi,
a okręt twój, jak plama czarna na śniegu
porannym?
słuchaj Hjobie —
oto w twoje usta kładę W i e ś ć,

a i biały róg w twoje daję dłonie i —
pójdź i zadmij!

H J O B :

(*w zadumie —
i nagle — jakby do siebie:*)

— nie będę grał na piszczałach —
i pocóż mi w biały róg dąć —
nie chcę go.
gdzieś tam nad trupem niepoznanego wiatry
jęczą —
t e n — c i jest pogrzeb, co mnie woła.
jak trumnę czarną poniosę zmarłego na grzbiecie

nie znając go, —
jak trumna czarna leży noc na ramieniu —
i któż jest zmarły?
a okręt mój czeka mnie, jak trumna czarna
wielkiego zmarłego czeka.
przyjdzie! przyjdzie!
(chce iść — a z nim marynarze jego.)

P R O R O C Y :

— cóż za znaczenie tych słów?
— zaprawdę, strasznego coś knuje.
— precz, precz stąd!
— nie! by knowania nie spełnił.

*(ucichną z nagła słowa proroków.
z głębi dolatują głosy.
Hjob i marynarze zatrzymują się.)*

ŚLEPY POSŁUGACZ:

— odejdźcie! odejdźcie stąd!
obcym niewolno! kto wy?
idźcie precz!

G Ł O S Y :

odepchnąć go! i wtargnąć!

*(stary Garbus — a za nim inni wpadają
ku Jezusowi:)*

— oto! oto on!
— ślepy byłem i widomym mnie uczyniłe —
— powróć mi moją ślepotę.

— trędowatym byłem i uleczyłeś mnie —
— powróć mi trąd mój.

— szaleńcem byłem i uzdrowiłeś mnie —
— oddaj mi mój szał!

— powróć! oddaj nam!
— bo nie pragniem uleczenia.
— nie pragniem.

(gromada proroków zmieszana.
zakrywają twarze białymi zawojami.
dym wije się i rozrywa zawoje.
Hjob rozważa chwilę —
potem się zwraca w kierunku bramy i idzie.
za nim — Garbus, Marynarze i jego ludzie).

P R O R O C Y :

(otuleni zawojami padają na twarz:)

— Mesjaszu synu Dawidowy! Mesjaszu synu
Dawidowy!
już oto czas najwyższy, abyś przyszedł.

SPIS RZECZY.